

## ZBIGNIEW ŁENKA

### TRAUMA

„Jesteście skazani na śmierć” – mówi volksdeutsch, tłumacząc słowa oficera SS – „Jeśli do jutra barykada na Różanej nie zostanie rozebrana, zostaniecie rozstrzelani”.

Stoimy wielką gromadą na dziedzińcu Stauferkaserne – koszar SS przy ulicy Rakowieckiej. Jest czwarty tydzień Powstania Warszawskiego. Niemcy wyciągają z piwnic i wysyłają na barykadę do powstańców trzy kobiety z białą flagą. Żądają rozebrania barykady. To ma być cena za nasze życie. Nikt z nas się nie łudzi, że nasi ugną się przed ultimatum niemieckim. Ktoś się półgłosem modli, ktoś inny klnie Rosjan, którzy stoją pod Warszawą, zamiast zdobyć miasto. Są mężczyźni w różnym wieku, raczej starsi, przeważnie cywile. Mogą być wśród nich powstańcy zagarnięci przez Niemców, tak jak my z „Krępym”, ale się ukrywają wśród cywilów, bo esesmani rozstrzelują powstańców. Mamy obaj po piętnaście lat, należymy do Szarych Szeregów, byliśmy łącznikami przy „Baszcie” na Mokotowie. Kiedy szliśmy z meldunkiem (chodzimy razem, bo to nam przynosi szczęście i ciągle żyjemy), zagarnął nas patrol SS. Chwała Bogu, że w tłumie ludzi wyrzuconych z piwnic palących się domów. Ukryliśmy się więc wśród cywilów. I tak trafiliśmy do Stauferkaserne.

Trzy kobiety wracają następnego dnia i przynoszą list od dowódcy Mokotowa do komendanta Stauferkaserne. Co jest w liście? Nasze życie. Nie będzie egzekucji.

Niemcy są jednak wściekli i tego samego dnia pędzą nas do obozu w Pruszkowie. Po drodze Ukraińcy napadają na kolumnę uchodźców. Mają dzikie twarze, zieje od nich wódka, zrywają z rąk kobiet pierścionki i obrączki, mężczyznom zabierają zegarki. Co kilkaset metrów stoją Niemcy, którzy pilnują, aby nikt nie uciekł do opuszczonych domów, i nie interweniują. A przecież ludzie się szarpią z Ukraińcami, słychać strzały, ktoś pada na ziemię zabity. Robią to z zemsty za wybuch Powstania.

Jakiś mężczyzna próbuje ucieczki. Zrywa się do biegu i już niemal znika w opuszczonym domu. Ale Niemiec czuwa i strzela do niego ze schmeissera. Mężczyzna pada, żandarm podchodzi i dobija leżącego. My idziemy dalej, od upału i pragnienia słaniamy się na nogach. „Krępy” szepcze mi do ucha, że on też nie pójdzie dalej. „Uciekasz?” – pyta wzrokiem. „Nie – mówię cicho – nie jestem bohaterem, nie mamy szans”. I wtedy „Krępy” ucieka. Żandarm wali do niego, ale nie trafia, bo „Krępy” biegnie zygzakiem, jak nas uczyli w konspiracji. Udaje mu się. Ja idę dalej. Zostaję sam.

Obóz w Pruszkowie jest pełen ludzi. Wszyscy koczują w okropnych warunkach, w dawnych halach fabrycznych, na brudnej, betonowej podłodze. Na zewnątrz esesmani, nie można wyjść, zaduch i dokuczliwe pragnienie. Nad ranem ładują nas do pociągu towarowego i wśród niemieckich wrzasków ruszamy w nieznaną.

Gdy mijamy naszą granicę i pojawiają się napisy niemieckie, pocieszamy się, że nie wiozą nas do Oświęcimia. Jedziemy całą noc i cały dzień, robią przerwy w podróży, czekamy po kilka godzin na bocznicach. Mężczyzna stojący przy małym okienku mówi, że nie jest źle. Jesteśmy w dawnej Austrii, a Austria to przecież nie Niemcy, chociaż należy do Rzeszy. Pociąg nagle staje. Patrzę na zegarek, jest 1<sup>20</sup> w nocy. Otwierają wagony i każą nam szybko wysiadać. Ten spod okna guzdra się, jest stary i wychodzi bardzo wolno. Gdy jest już na dole, podbiega Niemiec i kopniakiem

obala go na ziemię. Masz swoją Austrię, myślę wtedy. Formujemy kolumnę i idziemy w noc. Po bokach esesmani z psami. Przy nikłym blasku księżycy widzę małe domki tonące w krzewach. Nie ma ani jednej latarni: z obawy przed amerykańskimi nalotami obowiązuje zaciemnienie. Nagle strzał. Esesman wyciąga z kolumny mnie i jeszcze dwóch mężczyzn, lufą bergmanna wskazuje nam leżący na ziemi kadłub. Oświetla go na moment ślepą latarką. To ten facet spod okienka w wagonie, nie miał siły iść, więc esesman go zabił. Trzecia Rzesza w swoim marszu na podbój świata nie potrzebuje słabych. Oto mamy pierwszą lekcję w nowym życiu, jakie nas czeka na tej ziemi.

Nagle miasteczko się kończy, wychodzimy zza jakiegoś domku i moje oczy poraża morze światła. Czy już jesteśmy w piekle? Idziemy dalej, chociaż nie mamy sił, samowolny postój to śmierć. Wiemy już. Widzę wielką bramę, obok wieże strażników. Pojawiają się cywile z pałkami w rękę. Zwyczajny, ludzki strach chwyta mnie za gardło. Słyszałem przecież o obozach koncentracyjnych. A teraz taki los spotkał mnie. Stąd już nie ma ucieczki. Później dowiem się, że jestem w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, który Niemcy założyli nad pięknym, modrym Dunajem, w krainie Johanna Straussa. Jego walce tak lubi moja babka Rozalia. Gdzie jest świat mojej babki? – rozsypał się w proch, gdy Niemcy w 1939 roku oblegali Warszawę. Czy teraz rozsypie się mój?

Pierwsza selekcja. Oddzielają mężczyznę bez ręki, gdzieś znika. Zabierają także grupkę chorych, mają biegunkę. Wiemy, dokąd oni idą, ale milczymy, bo co możemy zrobić. Łatwiej jest walczyć na barykadzie. Z mieszanymi uczuciami przechodzimy kąpiel w wielkiej łaźni. Przecież wiemy, że Niemcy zabijają gazem. Golą nam głowy, wszystkie rzeczy osobiste wraz z ubraniami musimy włożyć do czarnych ceratowych worków. Za ukrycie czegokolwiek śmierć. Chociaż jesteśmy nadzy, rewidują nas pod pachami i w miejscach intymnych – szukają kosztowności. Jakiś mężczyzna ukrywa w ustach złoty sygnet, kapo to zauważył. Wali mężczyznę w twarz grubym kijem. Tamten pluje zębami. Inny chowa w odbytncy złotą monetę. Kapo obala go na ziemię i depcze wielkimi buciorami, później kładzie mu kij na szyję i dusi, przyklekając. „Tak szanujesz cara, że rubla do tyłka chowasz!” – rechocze, gdy tamten umiera.

Przebierają nas w pasiaki, fotografują z wielkimi numerami na piersiach, ale już nie tatuują ich na naszych rękach. Czyżby stracili wiarę w zwycięstwo Tysiącletniej Rzeszy, której mamy być niewolnikami. A może pójdziemy do gazu? Może pójdą inni, a ja nie. Jak dziwna jest natura ludzka. Człowiek się łudzi do końca. I tak chyba jest lepiej. Łatwiej przetrwać i nie zwariować.

Pracujemy w kamieniołomach. Ładujemy na taczki wielkie kamienie, niektóre mają po pięćdziesiąt i więcej kilogramów. Nosimy głazy we trójkę, a kapo nic nie mówi. I tak praca ponad siły, jest upał, dręczy mnie głód. Od ostrych kamieni ścieram sobie do krwi skórę na dłoniach, ciężkie bryły skalne zdzierają mi paznokcie.

Obok przez całe dni idą gęsiego półnaczy mężczyźni, dźwigają bloki skalne na gołych plecach. Idą pod górę, co stanowi dodatkową udękę. Kamienie są wielkie, ale im nie wolno sobie pomagać. Każdy musi nieść je pod górę sam. Pilnują ich esesmani. Gdy jeden Rosjanin nie ma już siły i kładzie kamień na ziemię, esesman strzela mu w głowę. Teraz już wiem, dlaczego Rosjanie tak uporczywie bronili Stalingradu – bo nie chcieli umierać tu z kamieniami na gołych plecach. Maszerujący pod górę niewolnicy to sowieccy jeńcy wojenni. Gdy wieczorem włożą drelichy, mają na nich wielkie litery „SU” – Sowjetunion. Konwencja genewska zabrania osadzania jeńców wojennych w obozach koncentracyjnych. Ale, jak widać, Niemcy w stosunku do Rosjan jej nie

przestrzegają. Gdy przegrają wojnę, a tylko nadzieja, że tak się stanie, trzyma mnie przy życiu, Niemcy za to zapłacą.

Nigdy nie wiadomo do czego jest zdolny twój bliźni. Młody mężczyzna z mojego transportu, który do tej pory niczym się nie wyróżniał, ani złym, ani dobrym, z dnia na dzień stał się zastępcą kapo. Nie nosi pasiaków jak my, lecz cywilne ubranie. Jedyнным znakiem obozowej szarży jest namalowany czerwony pas na plecach. Noszą go wszyscy kapo. Pragnąc pokazać, że on żyje na Olimpie, a my jako pariasi na dnie, już na początku swojej służby dla Trzeciej Rzeszy zrobił coś, co wstrząsnęło wszystkimi. Udusił starego człowieka, z którym jeszcze wczoraj dzielił pryczę. Patrzyliśmy na to, ale nikt się nie poruszył. Jak szybko człowiek uczy się obozowych reguł gry, aby przetrwać. Przy rozbieraniu się w łaźni złamałem regulamin i ukryłem w dłoni zegarek „Omega”, a należało go oddać kapo dyżurującemu przy stoliku. Zatrzymałem go nie z chciwości – wydawało mi się, że zaraz umrę, kiedy zabrają mi zegarek, który łączy mnie z normalnym życiem. Mogłem umrzeć jednak znacznie szybciej. Widziałem przecież, co kapo zrobił z dwoma więźniami, którzy nie chcieli wzbogacić Rzeszy. Stałem więc nago w chmurach pary, czekając na rewizję, wokół współwięźniowie, z których każdy może mnie wydać, obok esesmani, pod nogami gładki beton i żadnej szansy, aby ukryć omegę. Czy może być głupsza śmierć? I właśnie wtedy ujrzałem młodą kobietę, była w szarym uniformie, podeszła do mnie i zręcznie wyjęła mi zegarek z ręki. A więc mają tu i kobiety w służbie obozowej, bo przecież więźniarki są oddzielone od mężczyzn. Jaka sprytna ta Niemka, zauważyła, że ukryłem zegarek w dłoni i rozpaczliwie szukałem ratunku. Bo czy warto umierać za zegarek? Czekałem, że kobieta podeszła do kapo i odda mój zegarek, a esesmani mnie rozwalą. Ona jednak nie wydała mnie. Spokojnie wyszła, a ja ocalałem. Kim była ta kobieta, jaką funkcję pełniła w obozie, może była lekarzem, może tłumaczką?

Kim by nie była, uratowała mi życie, które lekkomyślnie naraziłem. W nocy opadły mnie wątpliwości. A może to podstęp, w obozie działa przecież gestapo, jeśli ona była agentką, marny mój los. Na razie nie biją w zęby, ale jutro może się wszystko zmienić. Jeśli to agentka to daje mi czas, abym się bał, a później się pojawi i powie, czego chce za zegarek.

A czego może chcieć gestapo od więźnia? Na pewno nie wiadomości o tym, kto się ociąga w pracy w kamieniołomach albo kto ukradł dodatkowy kawałek chleba. Takie informacje interesują kapo albo jego zastępcę, tych pomocników diabła, którzy w zależności od humoru wymierzają karę za pomocą pałki. Gestapo to precyzyjna maszyna, nie zawraca sobie głowy drobiazgami. Ono tropi w obozach koncentracyjnych spiski i organizacje ruchu oporu, które istnieją głęboko zakonspirowane. Jest taka organizacja w Oświęcimiu, o czym słyszałem jeszcze w Warszawie, na pewno jest i tu, w Mauthausen. Ja, powstaniec warszawski, aby żyć, wyparłem się AK, ale gestapo nie uwierzyło. Zdradziło mnie miejsce aresztowania. Może w ich mniemaniu mógłbym nadawać się na obozowego konfidenta. Dni mijały, a tajemnicza kobieta się nie zjawiała, a ja bałem się, że jak się zjawi, krótko pożyję.

Jest kolejna selekcja. Oddzielają sporą grupę młodych mężczyzn. Jestem wysoki, wysportowany, w Warszawie ćwiczyłem biegi, nadaję się do pracy. Tylko czy chodzi o pracę? Obóz to dziwny świat, logika zza drutów się nie sprawdza. Oby tylko nie posłużyć jako królik doświadczalny dla lekarzy SS, którzy sprzeniewierzyli się przysiędze Hipokratesa. Podobno robią tu eksperymenty. Jakiś więzień, który

przywiózł zupe, szepnął mi do ucha: „Uważaj chłopie, mordują powstańców warszawskich” i znikł jak duch.

Jest nas blisko pięćdziesięciu. Grupę lustrują oficer SS i lekarz stojący obok kapo. Oddzielają dwóch więźniów. Jeden z nich prosi niepytany (a tego nie wolno robić w obozie), aby go nie zostawiać – on chce jechać z nami. Oficer milczy, ale kapo wali więźnia pałąk w twarz, aż tamten pada na ziemię. Pomocnik kapo wybija mu kilka zębów i kopniakami odpędza od nas. Jak znam obóz, ten więzień nie pożyje długo. Prowadzą nas do magazynu i o dziwo wśród tysięcy worków odnajdują nasze. To precyzja, która służy śmierci. Każą nam się przebrać w ubrania. Jakiś cywil mówi po niemiecku, a volksdeutsch tłumaczy: „Nigdy tu nie byliście i nic nie widzieliście. Kto powie coś, to tu powróci. Rozumiecie?” Ładują nas na samochody. Wsiadam do pierwszej ciężarówki przykrytej ceratową budą. I nagle zamieram, widzę tajemniczą kobietę. Znów milczy, tak jak wtedy. Przeczucie mi mówi, że jednak warto jechać i uciec z tego piekła, w którym istnieje tylko droga przez komin.

Ale ja nie pojedę z nimi, gestapo upomni się teraz o zapłatę. Niemka mi pokazuje rękę, abym wysiadł z ciężarówki. A więc jednak nie omyliłem się. Esesmani stoją obok, ale nie reagują. Ona wtedy uderza mnie lekko w rękę i o dziwo w moją dłoń wślizguje się omega. Zaskoczyła mnie zupełnie i nie zdążyłem pomyśleć jak się zachować. Nawet dokładnie się jej nie przyjrzałem. Esesman trącił mnie automatem i jak ptak poszybowałem na ciężarówkę. Później, gdy już byłem poza koszmarem Mauthausen, czekałem, że wysłannik tajemniczej kobiety przyjdzie i upomni się o moją duszę, gdyż na świecie nie ma nic za darmo. Czekałem, ale nikt się nie pojawił. A gdy wydawało mi się, że to nigdy się nie wydarzyło i ja w ogóle nie mam zegarka, wyciągałem omegę i powracałem do rzeczywistości. I nikt już nigdy od niej nie przyszedł. Chyba po prostu miałem szczęście, bo ja w dobrych Niemców nie wierzę. Czasami tylko myślę po latach, kim była ta tajemnicza kobieta, i nie znajduję odpowiedzi.

Jest jesień, ze zdziwieniem zauważam, że na świecie są drzewa i ptaki. Wyładowują nas w miasteczku Grieskirchen, nocujemy w jakiejś opuszczonej szkole. Jeden z nas mówi, że to jest Oberdonau, czyli Górny Dunaj.

Znów pojawia się jakiś volksdeutsch, świat jest ich pełny, chyba uciekają z Polski przed nadchodzącymi Rosjanami. Wiedzą, że NKWD nie ma litości. Volksdeutsch mówi, że pójdziemy teraz do kościoła na mszę. Bardzo to wszystko dziwne. Najpierw Mauthausen, a teraz volksdeutsch, który kieruje nas do kościoła. Chociaż jestem katolikiem, nie mam zapala. Jednak idę. Księża austriaccy – choć, ponieważ podobno po anshlusie napłynęło tu wielu Niemców, i to nie tylko nazistów, trudno się zorientować, czy to na pewno Austriacy – zapraszają nas na mszę. Teraz już nie ma tłumacza. Nie wszyscy rozumieją księdza, który nas wita. Ja rozumiem. Ksiądz nie mówi słowa więcej, niż może powiedzieć, nie narażając się gestapo. Zwraca się do nas jak do parafian, ale wie, skąd przybywamy – mamy ogolone głowy, sine twarze i policzki zapadnięte z głodu. Patrzy tylko na nas jakoś dziwnie. Wysłuchujemy mszy świętej, a później księdza, bo jest ich dwóch, udzielają nam rozgrzeszenia, gdyż ze względu na nienajlepszą znajomość niemieckiego nie możemy przystąpić do spowiedzi. Ja mówię biegle po niemiecku, ale nie klęknałbym przed niemieckim księdzem. Z czego miałbym się spowiadać, czy z tego, jak widziałem, że kapo zabił więźnia, który schował sygnet, aby wymienić go na chleb, kiedy będzie umierał z głodu. A może z tego, jak esesman zastrzelił rosyjskiego jeńca, gdy ten padł pod

ciężarem wielkiego głazu. A może niemiecki ksiądz powinien klęknąć przede mną i prosić o przebaczenie za to wszystko, co dzieje się w Mauthausen. Kto z nas ma rację? Nie przystąpiłem także do komunii. Ta świętość dla mnie, jako katolika, wydała mi się fałszywa na tej ziemi i w tym kościele. Księża nie zdziwili się. Wychodzimy.

Pojawia się gruby Niemiec, nie mówi słowa po polsku. Jest kierownikiem miejscowego urzędu pracy. Kiedy się o tym dowiadujemy, wiemy już, że na loterii życia trafiła nam się główna wygrana. To nic, że śpimy na gołej podłodze, jemy jakąś cienką zupę, ale dostajemy po pół bochenka chleba. Jest herbata z miętą, jest margaryna, same rarytasy. Nie śmierdzi już dym z krematorium i nie ma tych esesmańskich diabłów z pistoletami, nie ma kapo. Świat jest piękny – wokół jesienne sady, jabłek nie ma już na drzewach, ale leżą na ziemi. Pozwalają nam jeść do woli. Niektórzy chorują.

Rano odbywa się giełda pracy. Przybywają łowcy robotników z okolicznych fabryk, niektórzy przyjechali aż z Linzu, wybierają nas do pracy. U nich sami starcy i kobiety, bo mężczyźni poszli na front. A kto się wymiguje, idzie pod ścianę. Kiedyś wysyłali takich do obozów koncentracyjnych, na funkcje kapo oczywiście, ale teraz nie ma to czasu, dają karę śmierci po kilku minutach sądu wojennego. Kierownik arbeidsamtu wyznaczył nas do malowania jego mieszkania. Na ścianie zobaczyłem oprawiony w ramki honorowy dyplom ze zdjęciem młodego mężczyzny, nie miał więcej niż 25 lat. Przeczytałem ukradkiem, że Helmut taki a taki zginął za führera i ojczyznę. Podobnych dyplomów widziałem później wiele w austriackich domach.

A więc giełda pracy. Przybyli mają zimne spojrzenia, przecież muszą wiedzieć, że nie przyjechaliby tu na ochotnika, przywieźli nas tu pod karabinami. Sortują ludzi jak martwe przedmioty, o nic nie pytają, rozmawiają tylko z kierownikiem arbeidsamtu. Może zachowują się tak ze strachu, bo współczucie dla Polaka jest źle widziane, a może imponuje im styl hitlerowców, albo sami nimi są i uważają nas za naród parobków. Po dwóch dniach zostaje tylko nas dwóch. Kierownik arbeidsamtu zwraca się do mnie: „Źle, ty chyba jesteś za młody”, a do mojego towarzysza niedoli mówi: „A ty za stary”. „Nikt was nie chce, a ja was nie mogę trzymać” – dodał. Wiem, co to znaczy. Możemy tam wrócić. Wreszcie tego drugiego biorą do fabryki akumulatorów. Zostaję sam.

Jest siódma po południu. Moja szczęśliwa liczba. „Chodź” – mówi gruby Niemiec i wypycha mnie do wyjścia. Patrzę. Widzę wysokiego Tyrolczyka, ubrany jest w zamszową kurtkę, na głowie mały, zielony kapelusz. Lustruje mnie przez kilka minut, a później mówi: „gut”. Wymieniają jakieś dokumenty, a kierownik arbeidsamtu poklepuje mnie po plecach i na pożegnanie rzuca: „Masz szczęście”. Nie był chyba taki zły chłop, jeżeli się na to zdobył. Wychodzimy, przed budynkiem stoi bryczka zaprzężona w białego konia. Ruszamy. Mój pryncypał wypytuje mnie, pyta ile mam lat, co robiłem w Polsce, pyta o zawód ojca i matkę. Płynnie odpowiadam, co wywołuje dobre wrażenie. A jednak czuję się dziwnie: kopany i popychany w Mauthausen, nagle jestem traktowany jak człowiek. Nie pyta tylko, jak się tu znalazłem, ja – piętnastoletni Polak, nie pyta o Mauthausen, a przecież mam ogoloną głowę. Uśmiecha się i próbuje być miły. „Do domu mamy dwie i pół godziny jazdy” – mówi. Pyta, czy jestem głodny. Odpowiadam, że jadłem tylko śniadanie. Zatrzymuje bryczkę w jakiejś osadzie. Z zupełnej ciemności wchodzimy do wnętrza oświetlonego gasthausu. Wszystkie stoły są zajęte. Siedzą przy nich starzy mężczyźni nad kuflami piwa. Wielu pali długie, porcelanowe fajki. Wszyscy patrzą teraz na nas. Szczególnie

na moją ogoloną głowę, która świadczy, że nie przyjechałem z sanatorium. Przy najbliższym stole mężczyźni wstają i po hitlerowsku pozdrawiają mojego pryncypała. Rozlega się głośnie: „Halitla!”. Bo oni tak to mówią. A więc jest znany. Jemy zupę i chleb, jest to jednak zupa z odrobiną mięsa, którego nie widziałem od miesiący. Staram się powstrzymać przed żarłocznością, jaka mnie nagle ogarnia, ale nie mogę. Pochłaniam zawartość swojego talerza, zjadam dwie pajdy chleba. On udaje, że tego nie widzi. Później podsuwa mi swój nietknięty talerz, więcej nie możemy dostać, kelnerka wycięła kupony z jego kartek. Wtedy ja opanowuję się i mówię, że bardzo mu dziękuję, ale się najadłem.

Kłamię, bo jestem zagłodzony, a porcja nie była zbyt wielka. Ale nie będziesz miał szwabie tej satysfakcji, że Polak pożre zupę, którą ty z litości mu oddałeś. Ja nie potrzebuję niemieckiej litości ani austriackiej. Przecież Austriacy też byli w służbie Hitlera.

Jedziemy dalej. Widzę tylko zarys małego dworku, bo jest już zupełnie ciemno. Wchodzimy do wnętrza. W hallu na ścianach trofea myśliwskie, skóry i poroża jeleni. Stoję, wyczekując, co będzie dalej, gdy mój pryncypał otwiera drzwi, i nagle uderza mnie strumień światła z jasno oświetlonego pokoju. To ich „stube”, czyli salon. Mogę się umyć i zaraz wracam do pokoju. On wskazuje na mnie i fatalnie przekręca moje imię. „Ja nazywam się Schmidt – mówi – to moja żona Gerda i córka Frieda”. Schmidt przydziela mi krzesło przy stole, oni siadają obok. Podają chleb, żółty ser robiony w domu, boczek wędzony i lekkie jabłecznik nazywany tu mussem. Czy ja śnię? Staram się nie jeść zbyt dużo, przecież przybyłem z doliny głodu, jak zachoruję, szybko się mnie pozbędą. Oni nie liczą się ze słabymi i chorymi – czy to niemiecka brutalność, czy nazizm? Nie chcę spotkać się z pogardą, nauczyłem się tego w Mauthausen.

Rozmawiamy do późnej nocy. Interesują ich moi rodzice, pytają, czy Warszawa jest duża, do jakiej szkoły chodziłem. Ani słowa o deportacji, ani o Mauthausen, chociaż on na pewno wie.

Frau Gerda pokazuje mi gdzie będę spał. W porządnym pokoju obok, w prawdziwym łóżku, jak w domu. Znów się dziwię. Gdy zostaję sam rozglądam się po sypialni. Widzę dużą szafę, uchylam drzwi, jest pełna ubrań, jakieś futro, na dole w szufladach stopy butów. W kącie mały stolik, na nim złoty zegarek, dwa pierścionki. Próbują mnie czy co? Rzucam się na łóżko i szybko zasypiam. Nie powiedzieli mi, o której godzinie pójdę do pracy jutro rano i co będę robił. Wstaję więc o szóstej. Schmidta już nie ma. Frau Gerda mówi, że pojechał do miasta. Jej zachowanie mnie dziwi: nie jestem przecież gościem, lecz więźniem Rzeszy. Jem śniadanie sam. Później ona mówi, że będę pracował przy fundamentach. Rozbudowują dworek, bo jest jeszcze druga córka Erika, która służy Rzeszy tam, gdzie ją skierowano, bo jest wojna. Jak się skończy, Erika wróci, a przecież córki wyjdą za mąż, więc potrzebny jest większy dom. Nie powiedziała, dokąd Rzesza posłała Erikę, a mnie byłemu więźniowi nie wypada pytać. Na budowie zastaję już grupkę mężczyzn: dwóch Ukraińców – robotników przymusowych i jednego Serba – jeńca wojennego z pobliskiego obozu. Pracujemy w milczeniu. Nie ufamy sobie. Oni odkąd dowiedzieli się, że mieszkam u Schmidta, patrzą na mnie jakoś dziwnie. Szepczą do siebie, a gdy podchodzę bliżej, milkną.

W niedzielę, która jest wolna, idę do kościoła. Może spotkam rodaków. Widzę sporą grupkę. Zdradza ich język i duże litery „P” na żółtych rombách. Traktują nas jak Żydów w Polsce, których zmuszali do noszenia gwiazdy Dawida. Gdy podszedłem

zamilkli i zaraz się rozeszli. Został jeden chłopak w moim wieku. Przyjrzał mi się i zdziwił, że nie noszę litery „P”, za co jest surowa kara. Spotykałem się z nim później wiele razy i gdy nabrał do mnie zaufania powiedział: „Co robisz u Schmidta, on podobno nie lubi cudzoziemców zesłanych na roboty przymusowe i my go unikamy. Wszyscy się go boją. A może ty jesteś volksdeutsch? Mogli cię zmusić w Mauthausen”. „Zwariowałaś” – mówię. Teraz rozumiałem, dlaczego inni Polacy przede mną uciekali. Gdy rozejrzałem się po sztubie, zauważyłem na centralnej ścianie wielki portret Hitlera. To jeszcze niewiele znaczy, później widziałem je niemal w każdym austriackim domu. Wieszają portrety ze strachu, wokół pełno konfidentów gestapo. Kto nie ma portretu Hitlera, jest podejrzany. Obok niego zauważyłem dużą fotografię za szkłem, oprawioną w ramki, a na niej mojego pryncypała, uśmiechniętego, w mundurze NSDAP, a obok samego Hitlera, który wręcza mu krzyż żelazny. Takiego zdjęcia nie robi sobie pierwszy lepszy Austriak, więc mój Schmidt to wysokiej rangi hitlerowiec.

Dlaczego więc nie mieszkam w komórce jak wszyscy Polacy w okolicy, tylko wpuścił mnie do domu i traktuje po ludzku? Dziwię się tym bardziej, że wyszedłem z Mauthausen, gdzie zamykają wrogów Rzeszy, a Schmidt na pewno domyśla się, że brałem udział w Powstaniu – ich gazety podały informację na ten temat. Niedawno znalazłem w spizarni stary egzemplarz gazety. Schmidt więc wiedział, dlaczego tu jestem, ale o nic nie pytał. Romek z Lublina, gdy mi już całkowicie zaufał, powiedział: „Nie rozumiesz, znajomy Serb, który ma ukryte radio, mówił mi, że idą Amerykanie; teraz przebijają się przez Francję, a Rosjanie zebrali pod Warszawą olbrzymią masę wojska. Ruszą lada tydzień. Już po Rzeszy. A jak tu przyjdą, odpłacimy hitlerowcom. On zgrywa dobrego Austriaka. Dla mnie to hitlerowiec i niech się już modli o życie. Masz być jego alibi wobec Amerykanów. Rozumiesz, oni wszyscy teraz spuszczaają z tonu”.

Może on ma rację? A może nie? Gadają o Schmidcie najgorsze rzeczy, bo jest nazistą, a naziści utopili świat we krwi. Czy człowiek może się tak maskować, albo mieć dwie dusze, być hitlerowcem, fotografować się z Hitlerem, a jednocześnie traktować dobrze Polaka i do tego byłego więźnia Mauthausen. Przecież jadam z nimi przy stole, a nie w kuchni czy w komórce, jak niektórzy moi rodacy, o czym się już dowiedziałem, śpię w normalnym łóżku w pokoju obok nich, nie tylko Schmidt, ale także jego żona i córka Frieda odnoszą się do mnie przyjaźnie. Kim jest ten człowiek naprawdę?

Pewnego dnia mój pryncypał oświadczył mi, że pracę przy budowie fundamentów już wykonaliśmy, a niestety on innego zajęcia dla mnie nie ma. Widząc moją speszoną minę powiedział, żebyśmy się nie martwił, bo on wystawi mi dobrą opinię i znajdzie pracę w sąsiedniej miejscowości. Znów mnie zaskoczył.

Następnego dnia pojechaliliśmy do Hofkirchen położonego kilka kilometrów od jego domu. W samym centrum miasteczka przy Adolf-Hitler-Platz ujrzałem solidny budynek z wielkimi oknami w żelaznych ramach. Na frontowej ścianie widniał wielki napis: „Hans Jeager”. Obok był ładny dom otynkowany na pomarańczowo. W kantorze warsztatów mechanicznych siedział sam Jeager, masywnie zbudowany, wysoki brunet, w wieku około trzydziestu lat. „Jak on wykręcił się od wojska?” – pomyślałem, bo wokół były same kobiety i starcy. Schmidt i Jeager podali sobie ręce jak dobrzy znajomi. Schmidt powiedział, że jest zadowolony z mojej pracy, wręczył Hansowi dokument z arbeitsamtu w mojej sprawie, a Jeager dokładnie lustrował mnie

wzrokiem. Schmidt przed odjazdem odwołał mnie na bok i powiedział: „Gdy tu ci będzie źle, przyjedź do mnie autobusem albo na rowerze pana Hansa, a ja ci znajdę inną pracę. Oni tu reperują rowery, a jak wiesz, mam dom w pobliżu”. Sytuacja była trochę dziwna, on hitlerowiec w mundurze NSDAP, czarny krawat, opaska ze swastyką na ramieniu, wyglansowane czarne buty z cholewami, kabura z pistoletem u boku i ja w lichym ubraniu, zdartych butach z ogoloną głową byłego więźnia po kwarantannie w Mauthausen, co mi wpisano do dokumentów, a więc wróg Rzeszy, rozmawiamy i on mi składa takie zapewnienia.

Obudziłem się następnego dnia w zupełnie innym świecie. Już nie w pokoju i w normalnym łóżku, ale bez pościeli, na żelaznym wyrku, które stało na korytarzu w warsztacie. Śmierdziało smarami i benzyną, a kiedy otworzyłem okno robiło się lodowato, bo już nadciągnęły przymrozki. Jeager nie wpuścił mnie do swojego pięknego domu. Zrywałem się o szóstej rano, bo wtedy dzwoniło w pobliskim kościele, i biegłem bez śniadania do warsztatu.

Tam pracowałem z robotnikami do godziny dziewiątej. Wtedy była przerwa, marny posiłek i robota do wieczora. Reperowaliśmy samochody wojskowe, które kierowano do małych miasteczek, bo wielkie zakłady remontowe w dużych aglomeracjach już nie istniały – zostały rozbite przez amerykańskie superfortece. Razem ze mną pracowali jeńcy jugosłowiańscy, jeden z nich był najlepszym fachowcem i naprawiał silniki. Ukraińcy wymieniali łożyska przy kołach i opony. Byłem ich pomocnikiem. Kiedy oni łatali pokaleczone pociskami karoserie i rozerwane podwozia, ja malowałem je czarną mazią lub myłem samochody. Pomagałem także olbrzymiemu Ukraińcowi w kuźni, próbując wielkim młotem trafić w rozgrzany kawałek żelaza, co mi się na ogół nie udawało. On natomiast, mimo dotkliwego chłodu, bez koszuli, niby Hefajstos, mniejszym młotkiem po mistrzowsku formował nowy resor. Kiedy nie mogłem trafić w żelazo, bo młot ważył co najmniej dziesięć kilogramów, Wasyl mówił tylko: „Oj, detino, płochy” i czekał, aż mi się uda. Hans Jeager, gdy ujrzał moją nieporadność, zaczął wrzeszczeć, że nic nie umiem i nadaję się tylko do zamiatania warsztatu. Wtórował mu jego ojciec, majster Franz, mężczyzna już stary i zgryźliwy. Bardzo się starałem, ale przecież od razu nie mogłem opanować posługiwania się tym ciężkim młotem, który był ponad moje siły. Zaczęły się dla mnie bardzo przykre dni. Oni nie byli zadowoleni z mojej pracy.

W niedzielę, kiedy inni mieli wolne, stary Franz kazał mi iść do warsztatu. Stała tam duża skrzynia starych gwoździ, powykrzywianych na wszystkie strony. Postanowił nauczyć mnie niemieckiej pracy, bo wierzył w Hitlera, którego duży portret wisiał nad jego łóżkiem. Gdy ktoś wchodził do warsztatu, stary Franz zrywał się z krzesła i podnosząc rękę do góry wołał: „Heil Hitler!”. „Jak wyprostujesz trzy kilo gwoździ, a ja dokładnie je zważę, będziesz miał fajrant” – powiedział. Była to szykana, gdyż, żeby wykonać to zadanie, potrzeba było wielu godzin, a może całego dnia, o czym on dobrze wiedział. Zlecał mi niepotrzebną pracę, bo w warsztacie nie używano gwoździ. Gdy inni robotnicy wypoczywali, ja męczyłem się z bezsensowną robotą. Około trzeciej po południu przychodzi majster Franz i od progu wrzeszczy, że nic nie robię, na szczęście gwoździ nie waży i każe mi iść do domu. Jest pijany jak bela.

Na praktyce u Jeagera było dwóch młodych Austriaków: Luis i Herman. Ten drugi, odkąd zgłosił się na ochotnika do SS, patrzył na mnie z góry, traktując mnie byle jak, i ani razu się do mnie nie odezwał, chociaż wymagała tego nasza praca. Luis był drobny i niewysoki i właśnie on powiedział mi, że Herman zgłosił się do SS na



ochotnika i czeka na termin wyjazdu. Z Luisem dogadywałem się, odnosił się do mnie normalnie, jakbym był jego kolegą. Ostrzegał mnie przed pułapkami w warsztacie, doradził, aby ukryć ten piekielny młot, gdyż inne są o połowę lżejsze.

W 1944 roku odwiedziła Górną Austrię bardzo ostra zima. Chociaż pracowałem od świtu do nocy w warsztacie, Jeager zgłosił mnie na wszystkie niedziele do odgarniania śniegu z ulic Hofkirchen. Nie miałem żadnej kurtki ani całych butów, nawet czapki czy rękawic, a mróz dochodził do dwudziestu stopni. Pracowałem gołymi rękami w dziurawych pantoflach, które miałem jeszcze z Warszawy. Poszedłem do Hansa i poprosiłem go o buty gumowe, których kilka par stało w magazynie, i o starą kurtkę roboczą i rękawice, bo na rękach pojawiły mi się odmrożenia. Wrzasnął, że mi nie da i radzi mi lepiej przykładać się do pracy, bo wrócę tam, gdzie byłem. Nie wiem jak bym przetrwał tę zimę, gdyby nie Wanda z Wilna, która pracowała u Jeagerów w kuchni. Zaczęła mi matkować. Dała mi swoją kurtkę, uszyła czapkę i rękawice. Stała się moim aniołem stróżem. Wyszukała gdzieś drewniaki, gdyż nam innych butów nie dawano. Wanda po kryjomu wynosiła dla mnie z kuchni chleb i słoninę. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia. „Przecież to grzech” – martwiła się, bo była bardzo religijna. „Pan Bóg przymknie oko, przecież jest wojna, a robi pani dobry uczynek” – pocieszałem ją. Opatrzność czuwała nade mną, bo już traciłem siły. Ku zdumieniu Jeagera, wytrzymałem wszystko. Mróz, śnieg i jego szykany.

Pracowałem jak maszyna przy odgarnianiu śniegu. Luis się nawet dziwił, dlaczego tak się staram, bo nie wiedział, że na ulicy walczyłem o swoje życie. Bardzo nie chciałem wrócić do Mauthausen. Przechodzący starzy Austriacy patrzyli na mnie z uznaniem i mówili: „guter Mensch”. Tylko Jeager nie był zadowolony. Wynałazł dla mnie nowe dodatkowe zajęcie. Po kilku godzinach pracy w warsztacie kazał mi wyrąbać przerębę w potoku przebiegającym przez jego ogród i myć w nim deski, które mieliśmy użyć do budowy garażu. Gdy mi to zlecił, w pierwszej chwili myślałem, że go nie rozumiałem. Był przecież siarczasty mróz, woda na deskach natychmiast zamarzała, a moje szmaciane rękawice zamieniały się w sople lodu. Starałem się mu wyperswadować tę syzyfową pracę, ale on wtedy wrzeszczał: „Odmawiasz roboty dla Rzeszy, odmawiasz! Wy Polacy jesteście lenie!”. Zorientowałem się, że chce mnie sprowokować i oskarżyć na policji o sabotaż. Sytuacja na frontach nie układała się dla nich dobrze, przegrywali niemal wszędzie i Rzesza powoli spadała w przepaść klęski. Wytworzyło to psychozę strachu, wszędzie szukano wrogów i sabotażystów, żandarmeria patrolowała drogi. Wystarczyło nie nosić litery „P” albo być oskarżonym o ociąganie się w pracy, aby trafić pod gilotynę w Linzu, a w najlepszym razie do Mauthausen.

Zaczęła się wiosna 1945 roku. Branko, znajomy Serb z warsztatu, który dzielił się ze mną informacjami z radia ukrywanego w obozie jeńców, powiedział mi: „Jeager nie lubi Polaków i chce cię zniszczyć w ostatniej chwili, Amerykanie są blisko, Rosjanie stoją pod Wiedniem, wytrzymaj”. Wanda, mój Anioł Stróż, też ostrzegała: „Rób wszystko, co on ci każe, aby nie mógł cię zgłosić do gestapo”.

Chyba tak było, bo przez całe dni mknęły po niebie floty amerykańskich superfortec. Leciły na Hamburg i Bremę. Hitlerowcy się martwili, a my cieszyliśmy się. Luftwaffe już się nie liczyła. Olbrzymie srebrzyste ptaki mknęły bezkarnie przez niemieckie niebo. W Austrii żyli wtedy na pewno ludzie, którzy nie należeli do zwolenników Hitlera. Oni jednak ze strachu o życie nie mogli okazywać radości z klęski Niemiec. Ale na pewno byli z nami.

Postanowiłem się bronić. Zwolniłem się z pracy do lekarza, lecz zamiast do niego pojechałem na rowerze do Schmidta. Nie dam się zabić w ostatnich godzinach wojny. Spotkałem jego żonę, która zaprosiła mnie do domu. Niestety Schmidta nie było. Poszedł na front, bronić Berlina przed Rosjanami. Znikł mój drugi anioł stróż z hitlerowską opaską na rękawie. Zostałem sam oko w oko z Hansem Jeagerem.

Po miasteczku dzień i noc krążył volkssturm, czyli uzbrojeni cywile z opaskami ze swastyką. Byli to sami starcy udający żołnierzy. Przez Hofkirchen przelewały się watahy volksdeutschów z Bukaresztu, z Budapesztu i z Sofii. W nocy do okien pukali dezernerzy, którzy mieli dosyć wojny i uciekali przed Rosjanami do Amerykanów. Przychodzili po kilku, byli wśród nich oficerowie, głównie Wehrmachtu, udawali patrole. Kładli na stole granaty, na szyi mieli pistolety maszynowe. Serce rosło, gdy widziałem, jak rozpada się Trzecia Rzesza. Dezernerzy lekceważyli volkssturm, a on ich nie dostrzegał. Taka niepisana umowa. Raz dopadł ich lotny patrol SS z karabinem maszynowym na samochodzie. Dezernerzy nie mieli szans, mogli chyba tylko z honorem zginąć, broniąc się, ale na to już ich nie było stać. Pokazywali jakieś papiery, ale oficer SS je podarł i podeptał. Kazał wyprowadzić dezernerów, dał znak żołnierzom, rozległa się salwa. Krew rozlała się na Adolf-Hitler-Platz szeroką strugą, niemiecka krew. Na stole została dymiąca jajecznicza. Ludności rozdano broń. U Jeagera w domu stały dwa karabiny, jeden dla niego, drugi dla starego Franza, który chodził po warsztacie i pociągał z butelki. „Przekłęci Rosjanie” – wołał i znów pociągał. Bał się ich bardzo i modlił się, aby Amerykanie zdążyli. Czy to nie dziwne, że dwaj wrogowie proszą o to samo Pana Boga, o przyjscie Amerykanów. Bo ja też się o to modliłem. Pamiętałem, że Rosjanie nie pomogli nam powstańcom warszawskim, więc wołę Amerykanów. Mogą przyjść jednak i Rosjanie. To również szansa na przeżycie.

Luis mi powtórzył w tajemnicy rozmowę Hansa ze starym Franzem. Hans powiedział: „Żałuję, że nie zgłosiłem tego wroga Rzeszy oficerowi SS, który ukarał dezernerów”. Chodziło o mnie. A więc śmierć była blisko. Skąd on wiedział, co ja myślę naprawdę, i dlaczego wśród tylu robotników przymusowych upatrzył sobie właśnie mnie. Przecież inni także czekali na wyzwolenie.

Zacząłem się bać śmierci na zalanym śmierzącym smarem Adolf-Hitler-Platz w ostatnich godzinach wojny. Gdy rozwała mnie esesmani tropiący sabotażystów i defetystów, obcy ludzie zmyją moją krew z płyt chodnikowych i następnego dnia nie będzie po niej śladu, jak po krwi dezernerów. A może uciec do Amerykanów?

Gdy rozpaczliwie szukałem w głowie ratunku, na plac przed warsztatem zajęchały ciężarowe samochody i zaczęto wyładowywać części jakiejś trybuny. Robotnicy przymusowi szybko zmontowali z nich duże podium, na ścianie naszego warsztatu powiesili portret Hitlera, a obok dwie wielki flagi ze swastyką. Podium ubrano sztucznymi gałązkami świerku. O zmroku robotnicy odeszli. Szykowała się hitlerowska feta, nazistowskie święto, chciano je uczcić, aby swoich zachęcić do oporu. Tak myśleli na pewno hitlerowcy, bo prawdziwi Austriacy mają dosyć niemieckiego panowania. Tylko gdzie są ci prawdziwi Austriacy? Gdy pewnego dnia wsiadłem do autobusu, bo Jeager wysłał mnie po drewniaki do pobliskiego Grieskirchen, oddalonego o całe dziesięć kilometrów, spotkała mnie nieprzyjemna przygoda. Kierowca sprzedał mi bilet, usiadłem z boku, nikt nie wiedział, że jestem cudzoziemcem na robotach, bo nie nosiłem litery „P”. Nie zwracano na mnie uwagi, ubrałem się porządnie, na nogach miałem pantofle z Warszawy, a nie drewniaki.

Ledwie autobus ruszył, do kierowcy podszedł młody chłopak, mój rówieśnik. Pokazał mi wzrokiem i powiedział, że ten Polak nie ma prawa jechać w jednym autobusie razem z Niemcami. Kierowca nie miał ochoty mnie wyrzucić, bo na szosie był śnieg do pasa, ale uległ i kazał mi wysiąść. Nikt nie kiwnął nawet palcem. Przeszedłem wtedy dwadzieścia kilometrów do Grieskirchen i z powrotem po śniegu, przy wietrze i mrozie. Nic nie załatwiłem, bo drewniaków zabrakło. Ekspedient był zdziwiony, że przyszedłem w taką pogodę.

Wracamy jednak do wydarzenia na Adolf-Hitler-Platz. Złożył się na to mój konflikt z Jeagerem. Chciałem się po prostu zemścić za to, co mnie spotkało. To wszystko popchnęło mnie do mojej prywatnej wojny z Niemcami, która może się wydać niewiarygodna. Ale tak było. Hans Jeager na pewno nie żyje, aby mógł potwierdzić, jego żona znacznie młodsza, chyba też nie, ale mieli małą córeczkę. Ona na pewno żyje i być może zna historię tajemniczych napisów w hitlerowskim imperium. Albo ktoś z potomków mieszkańców Hofkirchen o nich słyszał. Może odnotowano je w aktach miejscowej policji, ale to mało prawdopodobne.

Nadal się czułem małym kóteczkiem polskiej konspiracji. Więc chciałem osłabić hitlerowskiego ducha. Niech panoszący się hitlerowcy nie będą tacy pewni siebie. Niech zobaczą, że jest opór przeciwko nim. Jeśli uwierzą, że jest to dziełem tajnej organizacji, tym lepiej. A prawdziwym Austriakom dam nadzieję. Zaczęłem moją prywatną wojnę, bo przecież byłem sam. Późnym wieczorem na kilku domach przy Adolf-Hitler-Platz narysowałem kredą wielkie napisy: „Hitler kaputt”<sup>1</sup> i „Deutschland verloren”<sup>2</sup>. Zostały szybko usunięte, ale na pewno ktoś je widział i to już jest mój sukces. Zrobiłem pierwszy krok. Najważniejsze było dopiero przede mną.

Wstałem o pierwszej w nocy, wziąłem gumowe rękawiczki, aby nie zostawić zapachu moich rąk dla policyjnego psa. Stąpając cicho, wyszedłem przez warsztat na Adolf-Hitler-Platz. Zupełna pustka i ciemność. W mroku rozróżniłem kontury wysokiego podium i na ścianie plamę portretu Hitlera. Ja, pogardzany robotnik przymusowy, miałem go w rękę, chociaż on miał armie i gestapo. On sprowadził mnie tu, gdzie żyję pogardzany przez Jeagera, jego zwolennika, który chce mnie zniszczyć za wszelką cenę. Szybko wdrapałem się na podium i dwoma ruchami zerwałem wielkie flagi ze swastyką, zdjąłem portret i położyłem go na deskach, aby nie robić hałasu. Stąpając jak kot, wróciłem do legowiska w korytarzu warsztatu. Być może nie przeżyję tej wojny, ale odpłaciłem wam za wszystko. Niestety musiałem powrócić jeszcze raz na Adolf-Hitler-Platz, bo zgubiłem jedną rękawiczkę. Nieraz zrywałem w Warszawie niemieckie flagi i pisałem antyniemieckie hasła na murach, więc powinienem lepiej to wykonać. Miałem wprawę w szukaniu po ciemku zgubionych przedmiotów. Zaczęłem chodzić wzdłuż placu na czworakach i znalazłem rękawiczkę. Najwyższy czas, gdyż już świtało.

Rano jak zwykle poszedłem do pracy. Wkrótce pojawili się inni robotnicy. Przyszli stary Franz i Hans. Przyjechały samochody i robotnicy przymusowi znów przybijali flagi. Nie wystawiałem głowy z warsztatu, bo wszystkie policje świata wiedzą, że przestępca wraca na miejsce zbrodni. Wyjrzałem na plac dopiero, gdy przez megafon rozległ się głos hitlerowca, który wrzasnął: „Sieg Heil!”. „Niech żyje zwycięstwo – chyba moje” – pomyślałem. Później zagrała orkiestra „Deutschland,

---

<sup>1</sup> Hitler przegrany.

<sup>2</sup> Niemcy stracone.

Deutschland über alles”. A tłum ryknął za hitlerowcem – „Sieg Heil!”. Amerykanie zajęli pół Niemiec, Rosjanie maszerują na Wiedeń, a oni krzyczą „Sieg Heil”. Co znaczy zwykły, ludzki strach i co on wyprawia z ojczyzną dobrotliwego Franciszka Józefa. Ale gdy pomyślałem o Jeagerze, nie było mi ich żal.

Spojrzałem na podium, portret Hitlera wisiał na swoim miejscu, tylko flagi znajdowały się trochę z boku. Hitlerowskie święto trwało w pełni, mój czyn na nic się nie zdał. Ci, którzy organizowali festyn, chyba ze strachu nie zawiadomili policji, po cichu zrobili wszystko od nowa. A może to dzieło zwolenników wolnej Austrii, co liczą dni do wkroczenia Amerykanów. Oni zachowali milczenie, aby nie ściągać gestapo? Nie podejrzewałem o to Jeagera, który puszył się swoim nazizmem i gdyby wiedział, od razu poleciałby do gestapo. Nagle przestał mnie szykanować. Nie wykrzykiwał na mnie, że nic nie robię i nic nie umiem. Odczepił się ode mnie także jego ojciec, nie dawał mi już roboty w niedzielę. I nagle stary Franz umarł na serce. Pił tego dnia do późnej nocy w gasthausie, jak zwykle odkąd Rosjanie szli na Wiedeń, i jeszcze pociągał z butelki w ciągu dnia w warsztacie. Umarł ze strachu. Luis mi pierwszy o tym powiedział, a potem dodał cicho: „Cieszę się, to był zły człowiek”. „Masz rację, on był podły” – odezwałem się. Przecież nie reagował, jak Hans się nade mną znęcał. Co oni z nas zrobili ci hitlerowcy, kiedyś nas uczono, że o zmarłych mówi się tylko dobrze, a my co. Znieważamy starego Franza i cieszymy się z jego śmierci. Chociaż wolałbym, aby w trumnie leżał Hans.

Starego Franza z gasthausu przynieśli do domu. Położyli na łóżku i zapalili świece. Przychodzili sąsiedzi, aby się z nim pożegnać. Trwało to kilka dni, a w całym domu zrobiło się bardzo cicho. Stał warsztat i Hansowi nagle przestało się spieszyć. Robotników na kilka dni zwolnił z pracy. My z Luisem też się objaliśmy, bo Herman poszedł na front. Luisa nie wzięli, bo biedak był chory. Wkrótce odbył się pośpieszny pogrzeb, nad wszystkim wisiał lęk, że może jutro będą tu Rosjanie, bo podobno zajęli Wiedeń i dla hitlerowców wybije godzina samosądów.

Po pogrzebie Jeager wezwał mnie na rozmowę, a raczej na jego monolog, bo nigdy nie pozwalał mi mówić. Nie był już taki pełen buty – nagle między nas weszła śmierć starego Franza. A jutro na Adolf-Hitler-Platz mogą pojawić się czołgi amerykańskie, a co gorsza rosyjskie.

Porządni Austriacy nie powinni obawiać się zemsty, ale Jeager nie powinien spać spokojnie. Czyżby on wszystko przewidział? Bo przecież najgorszy jest czas, kiedy miasto jest niczyje, policja niemiecka ucieknie, a zwycięzcy jeszcze go nie przejmą. Zakomunikował mi, że on już nie ma dla mnie pracy. Wręczył skierowanie do arbeitsamtu w Schallerbach.

„Wiesz dlaczego odchodzisz? Jesteś przestępcą, a dla takich nie ma u mnie miejsca” – zawołał ze złością. Przecież odważyłeś się zerwać flagi i portret führera. Słyszałem, jak wtedy w nocy wychodziłeś z warsztatu. Zaskoczył mnie. Jednak wiedział, a ja ciągle żyłem. Jeager zwolnił z pracy nie tylko mnie, ale wszystkich robotników i na pewien czas zamknął warsztat, rzekomo na znak żałoby po ojcu. Pozbył się także pani Wandy, mojego anioła stróża, kobiety łagodnej. Lepiej nie mieć świadków. Kto wie, co się jutro wydarzy, przecież za darmo korzystał z pracy jeńców wojennych i robotników przymusowych. A jeśli tak ich traktował, jak mnie, na pewno ma się czego bać.

Nagle zrozumiałem, czemu zawdzięczałem święty spokój przez ostatnie tygodnie. Mój czyn wrogi wobec Rzeszy stał się dla niego pułapką, a mnie być może uratował

zycie. Gdyby na mnie doniósł do gestapo, mógłbym się przyznać do wszystkiego – już oni mieli swoje sposoby – i on też dałby głowę. Przecież mnie nie dopilnował. A może to pan Bóg mi dopomógł, zabierając starego Franza, i w obliczu śmierci, która nagle zapukała do jego domu, Hans po prostu zmiażdżył. Albo pomogli mi Amerykanie – już się zbliżali, a Hans bał się ich odwetu. Jaka jest prawda? Jaka by nie była, mam w rękę skierowanie do nowej pracy, a Jeager puszcza mnie wolno. Żyję. I tylko to się liczy.

Z ulgą rozstaję się z warsztatem. Po kryjomu żegnam się z Luisem. Życzy mi szczęścia. Nienajlepszego zdrowia, niepozorny Luis w moich oczach ocala całą Austrię.

Na dworcu kolejowym pełno esesmanów, stoją plutonami, czekają na pociąg. Mało teraz wojskowych transportów, nie starcza wagonów zniszczonych przez amerykańskie naloty. Koczują także tłum volksdeutschów z różnych krajów, którzy jak szczury uciekają przed Rosjanami na zachód. Za wszelką cenę pragną dotrzeć do Amerykanów, co stanowi marzenie wszystkich hitlerowców. Są różnorodnie ubrani, niektórzy dosyć dziwnie: ci z Rumunii w skórzanych kurtkach i czarnych kapeluszach, a ci z Bułgarii w białych koszulkach i serdakach. Mówią słabo po niemiecku, dlatego wśród nich łatwo się ukryć. Żadna policja świata nie zdoła wylegitymować tego spanikowanego tłumu. Dostałem skierowanie do pracy, więc mam prawo jechać pociągiem, ale nie wolno mi siedzieć w poczekalni razem z Niemcami.

Tego dnia na dworze było bardzo zimno. Dla Polaka znajdującego się w sercu niemieckiej Austrii było niebezpiecznie. Mogłem być indagowany przez kręcącą się żandarmerię. Przy legitymowaniu mogliby się zastanowić, dlaczego w tak gorącym dla Rzeszy czasie zwolniono mnie z pracy. Gdy kupowałem bilet, kasjerka, przyglądając się mojemu nienajlepszem ubraniu, zapytała, kim jestem. Odpowiedziałem, że volksdeutschem z Budapesztu i teraz uchodzącą. Ojciec na froncie broni Rzeszy, a matka zginęła od rosyjskich bomb. Jak mówił Luis, miałem nordycki wygląd, a włosy już mi odrosły, gorzej z akcentem. Jadę do rodziny, która zatrzymała się w Schallerbach. „Jesteś zuch!” – powiedziała i dała mi Ersatzschokolade<sup>3</sup>. Na dworcu koczowałem przez cały dzień i noc. Nie mogłem wsiąść do pociągu, bo szły transporty z wojskiem. W bufecie nie było nic do zjedzenia, tylko piwo. Miałem w torbie zapas chleba, który dała mi pani Wanda, zanim się rozstaliśmy, co bardzo przeżyłem, ale taki jest nasz los robotników przymusowych na drogach wojny.

Trzeciego dnia omal nie wpadłem wskutek dobrego serca kasjerki, która dała mi czekoladę. Gdy ją ujrzałem w okienku, grzecznie się ukloniłem, a ona, chcąc mi pomóc wsiąść do pociągu, zawołała zawiadowcę stacji. Starzy volksdeutsche z rodzinami wpychali się do wagonów z wojskiem, ale były to oddziały zdekompletowane, dużo rannych, więc panował spory bałagan i nikt nikogo o nic nie pytał. Ja jednak omijałem takie transporty. Teraz nie mogłem tego zrobić. Zawiadowca wziął mnie pod pachę i niemal wrzucił do ruszającego pociągu. „Schnell!” – zawołał siedzący w nim esesman i wciągnął mnie za rękę do wagonu. Jak gdyby nic, coś burknąłem jako podziękowanie i przeszedłem do toalety. Po drodze ocierałem się o żołnierzy, na pół śpiących i wykończonych, na szczęście toaleta była pusta. Przez uchylone okienko odczytywałem nazwy stacji. Wreszcie Schallerbach. Wskoczyłem z

---

<sup>3</sup> Wyrób czekoladopodobny.

ustępu i biegłem do drzwi wśród śmiechu esesmanów. Nie zorientowali się, że jestem Polakiem. Wysoki blondyn o niebieskich oczach mógł być tylko Niemcem. Udało się.

Zgłosiłem się do Arbeitsamtu w Schallertbach. Urzędnik złapał się za głowę: „Teraz robotnik przymusowy? Skąd się wzięłeś, co ja z tobą zrobię?”. Przejrzał moje dokumenty. „Dlaczego przestałeś pracować u Hansa Jeagera, może cię zwolnił za karę, bo coś przeskrobałeś, a może uciekłeś z Hofkirchen? Ta sprawa mi się nie podoba, wygląda podejrzanie. Jeździsz sobie po kraju jak gdyby nigdy nic, a to jest wam robotnikom przymusowym zabronione. Muszę zgłosić policji, takie są przepisy”.

Uratowała mnie dobra znajomość języka i duch mojego pierwszego pryncypała Schmidta, który się unosił nade mną. Wiedziałem, że jego nazwisko jest tutaj znane, bo Schallertbach znajdowało się kilkanaście kilometrów od Hofkirchen. Powiedziałem, że pracowałem u pana Schmidta, znam jego żonę Frau Gerde i córkę Friedę i on był ze mnie bardzo zadowolony. Tylko poszedł na front i skierował mnie do pana Hansa Jeagera. Wydarzyło się nieszczęście, nagle zmarł na serce jego ojciec i pan Jeager na pewien czas zamknął warsztaty samochodowe. Ale pan Jeager to bardzo porządny człowiek i z żalem od niego odszedłem. Nie wiem, czy uwierzył we wszystko, ale nazwisko Schmidta stanowiło żelazny glejt. Dał mi spokój i skierowanie do pracy.

Nie chcieli mnie tam przyjąć, kazali przyjść rano. Następnego dnia dali mi pracę bardzo niechętnie. Kierownik ze swastyką w klapie przejrzał moje dokumenty i powiedział podejrzliwie: „Coś ty za często zmieniasz robotę, może źle pracujesz i trzeba cię nauczyć. Czy wy w Polsce dalej macie wychodki bez kanalizacji, czy chodźcie za stodołę?” Zaśmiał się złośliwie. „Takie wychodki są jeszcze rzeczywiście u nas na wsi, ale u pana Jeagera w Hofkirchen, też był taki ustęp, chociaż w domu miał kanalizację” – odpowiedziałem, bo szlag mnie trafił z powodu jego złośliwości. Wtedy on wrzasnął: „Raus!”

U Jeagera podle karmili: rano kubek czarnej kawy zbożowej i dwie gliniane bułki, a po południu zupa z dyni zaprawiona margaryną i czasami kawałek kości do ogryzienia. Na kolację kawa i dwie małe kromki chleba z margaryną. Ale tu było jeszcze gorzej. Dwa razy dziennie cienka zupa i odrobina chleba. Jak tu przeżyć? Zygmunt z Warszawy, z ulicy Targowej, powiedział mi po kilku dniach, jak się ratować od głodu. On często jeździł rowerem po mleko do bauerów pod miasteczko, bo Austriaczki z dyrekcji miały małe dzieci. Jego zmiennikiem był stary Ukrainiec, ale on nie dawał rady. Zabrano mu więc rower. Gdy się już zadomowiłem w nowej pracy, wyruszyliśmy z Zygmuntem pod miasto. Oczywiście mieliśmy ausweis z dyrekcji na wypadek spotkania policji. Zygmunt mnie po kolei przedstawiał bauerom, a właściwie ich żonom. Przyglądały mi się z ciekawością, a jedna Austriaczka wręcz zapytała, ile mam lat i co robię na robotach w wieku piętnastu lat. Odpowiadałem wymijająco, aby nie zostać posądzonym o wrogą propagandę, gdyż spotykałem moich austriackich rówieśników, często w mundurach Hitlerjugend. Odnosili się do mnie niechętnie, a nawet z pogardą. W myśli kpiłem z nich, bo co oni wiedzieli o wojnie w porównaniu z nami, chłopakami z Powstania Warszawskiego, którzy z butelkami benzyny szliśmy na niemieckie czołgi. Zobaczmy, czy oni to zrobią jak przyjdą Rosjanie, bo na razie urządzają po mieście parademarsche i skandują jak automaty „Sieg Heil!”. Więcej w tym strachu przed gestapo, niż lojalności wobec Rzeszy.

Jaki w Austrii panował wtedy terror, że wszyscy byli niestęchanie zamknięci w sobie, a wobec mnie, Polaka na robotach przymusowych, zamieniali się w kamienie, żadnych ludzkich odruchów, nawet w sklepie, gdy wysyłano mnie po zakup mydła. A

przecież nie wszyscy byli nazistami, oni po prostu się bali wszechwładnego gestapo, które miało tysiące donosicieli.

Pomysł Zygmunta polegał na tym, że niezależnie od mleka, kupowaliśmy śmietaną, którą wypijaliśmy po drodze. Dyrekcja o tym nie wiedziała. „Teraz doczekamy przyjscia Amerykanów” – mówił Zygmunt.

W nocy trudno było spać. Budził nas odgłos silników. Przez miasteczko mknęły samochody z oficerami wyższych szarż, którzy uciekali do Amerykanów. Czasem dopadał ich pościg żandarmerii polowej z wielkimi blachami na piersiach czy patrole SS. Rozstrzeliwano ich na miejscu albo wieszano na drzewach z tabliczkami na piersiach. Umieszczali na nich napis „zdrajca”. Później zabrakło tabliczek, ale próba poderwania w ten sposób upadłego niemieckiego ducha trwała. Gauleiter Oberdonau, jak głosiła rozpowszechniona wśród Austriaków plotka, która dotarła do nas pocztą pantoflową, dawno uciekł, ale przez radio całe dni wzywał mieszkańców do oporu i walki do ostatniego naboju. Zniknęły patrole SS i żandarmerii polowej, a przez całe noce trwał exodus różnej maści dygnitarzy hitlerowskich, którzy mknęli na zachód, aby poddać się armii generała Pattona<sup>4</sup>. Woleli amerykańskie przesłuchania niż spotkanie z NKWD. Przypomniałem sobie los sowieckich jeńców wojennych w Mauthausen. Na pewno nie wyszli z obozu żywi, więc dygnitarze hitlerowscy mieli się czego bać. Zniknął nawet gdzieś nasz kierownik, który nosił w klapie swastykę i swoich rodaków z nad Dunaju pozdrawiał po hitlerowsku. Podobno był agentem gestapo i niejeden przez niego pojechał do obozu koncentracyjnego. Teraz bał się zemsty.

Nadszedł koniec kwietnia. W Górnej Austrii jest wtedy bardzo ciepło. Wszystko się zieleni, a znad Alp nadciąga powietrze tak rześkie, jakiego nie ma nigdzie na świecie. I właśnie wtedy umierają hitlerowskie Niemcy. W stołówce czekamy na zupę i chleb. Naprzeciwko nas, robotników przymusowych Polaków, Ukraińców, Czechów i jeńców wojennych z Jugosławii i Francji, siedzi personel niemiecki: kilka kobiet i trzech starych mężczyzn z volkssturmu z karabinami między kolanami. Oni słuchają radia, a my przy okazji też. Nie mamy wstępu do stołówki, gdy są w niej Niemcy, ale przy panującym rozprężeniu nikt na to nie zwraca uwagi. Nagle radio przerywa nadawanie marszy wojskowych, a spiker z Berlina mówi, że zaraz zostanie nadany nadzwyczajny komunikat. Rozlega się hymn niemiecki, oni wszyscy wstają, prężą się na baczność i podnoszą ręce do hitlerowskiego pozdrowienia. My również musimy się podnieść z ławy. Kończą grać hymn, spiker smutnym głosem mówi, bardzo powoli: „Unserer Führer Adolf Hitler ist tot”<sup>5</sup>.

Ilu ludzi musiało zginąć, ilu poszło w obozach do gazu, abym mógł usłyszeć te radosne słowa. Nie ma Hitlera, czy to możliwe? Patrząc na tamtych, poszarzały im twarze, są jakby mniejsi i skurczeni, to chyba jednak hitlerowcy. Tylko ci starzy z volkssturmu zostawili karabiny i wyszli.

Nagle wpada Serb do stołówki i krzyczy: „Amerykanie, Amerykanie!”. Wybiegamy jak szaleni na ulicę. Zbiera się spora grupa robotników przymusowych, jest kilkunastu Francuzów i Jugosłowian – jeńców wojennych. Oni porywają karabiny porzucone przez volkssturm. Biegniemy za wysokim Serbem, który prowadzi grupę.

---

<sup>4</sup> George Smith Patton Jr. – generał amerykański, od marca 1944 r. dowodził amerykańską 3. Armią.

<sup>5</sup> Nasz wódz Adolf Hitler nie żyje.

Wyprostowujemy się, ogarnia nas szal radości. Ulice są puste, Austriacy nie przyłączają się do nas.

Biegnę ze wszystkimi przez wymarłe miasteczko. Wreszcie wyskakujemy na peryferie, staję i patrzę jak zaczarowany. W dole na drodze stoi amerykański sherman z białą gwiazdą na boku, a zanim wije się ich cała kolumna. „Niech żyje Ameryka!” – wrzeszczymy chórem, każdy w swoim języku, biegniemy i na oczach zdumionych żołnierzy całujemy czołgi armii generała Pattona, a oni nas fotografują. Nietrudno zgadnąć, kim jesteśmy. Zdradza nas nie tylko entuzjazm, ale i wygląd. Jesteśmy nędznie ubrani, mamy blade twarze zagłodzonych ludzi, niektórzy ogolone głowy i zmęczone od ciężkich przeżyć oczy. Takich twarzy nie mają ludzie wolni. Jugosłowianie noszą na głowach krymki, Francuzi wymachują swoją trójkolorową flagą wydobytą z ukrycia. Wśród nas znajduje się inny Polak, Romek, który mówi po angielsku.

Następuje wzruszające powitanie. Amerykanie wysiadają z kilku czołgów, pozostałe są gotowe do walki, lufy dział kierują na miasto. Mój rodak opowiada Amerykanom, co przeżyliśmy na robotach przymusowych. Mówi też, że Mauthausen jest niedaleko i oni muszą tam zdążyć, aby uwolnić więźniów. Gdy mówimy, że uratowali nam życie, lody między nami pękają zupełnie. Ściskamy się z żołnierzami, dają nam stopy konserw i czekolady. Słyszeli o Mauthausen, pytają, czy ktoś z nas tam był. „Ja byłem” – mówię i występuję przed szereg. Oficer, chyba wywiadu, pyta mnie, kim jestem, z jakiego kraju i jak trafiłem do obozu. Chce się upewnić, czy to prawda, że tam mordowano więźniów. Skinąłem głową. „Dużo?”. „Tysiące” – odpowiadam. „Czy obóz jest bardzo ufortyfikowany i czy będzie broniony?”. „Nie będzie – mówię szybko – esesmani pilnujący obozów to tchórze. Uciekną jak tylko podejdziecie pod bramę”. „Czy obóz jest wokoło zaminowany?” – pytają dalej. „Nigdy nie był, a teraz nie zdążą już tego zrobić” – odpowiadam. Oficer coś mówi do dowódcy zwiadu pancernego, a później zwraca się do mnie. Tłumacz przekłada: „Czy pojedziesz z nimi do Mauthausen, znasz rozkład obozu, byłeś tam?”. „Pojadę” – mówię bez wahania i za chwilę wdrapuję się na maskę shermana. Wtedy moich współtowarzyszy ogarnia coś na kształt szaleństwa. Jesteśmy wolni – my, pogardzani robotnicy przymusowi – bo uwolnili nas Amerykanie, którzy wylądowali w Normandii i przyszli aż tu. Mój widok na zwycięskim amerykańskim czołgu, chociaż jestem wynędzniały i obdarty, nobilituje ich wszystkich. Wyprostowują się, a ich oczy odzyskują dawny blask. „Niech żyje Ameryka!” – krzyczymy całymi gardłami. W tej chwili w czołgu odzywa się radio. Oficer wywiadu nakłada słuchawki, a po kilku minutach mówi, tłumacz przekłada: „Mauthausen właśnie zostało wyzwolone. Czołgi amerykańskie przed chwilą rozwały bramę”.

Rezygnuję więc z dalszej wyprawy. Oficer mówi, że zaraz ruszają dalej, a miasto zajmą inne oddziały, które nadejdą. Patrzymy na siebie. Myślimy to samo – a jeśli pojawi się patrol SS, kto nas obroni? Przecież porzuciliśmy pracę i na oczach szpicli, którzy pozamykali się w domach, ale patrzą zza firanek, powitaliśmy Amerykanów. Mirko, wysoki Serb jeniec wojenny, mówi przez tłumacza: „Opóźnijcie wymarsz, aż tamci przyjdą albo dajcie nam broń”. Oficer odmawia. Serb naciska: „Przejedźcie chociaż przez miasto”. Amerykanin się zgadza i czołgi ruszają. Za chwilę znikają nam z oczu. Mirko mówi: „Jestem oficerem i obejmuję komendę. My zajmiemy miasto. Kto był w wojsku wystąp! Z grupy ponad trzydziestu mężczyzn wychodzi przed szereg połowa. Ja także występuję. Serb przechodzi wzdłuż szeregu, zatrzymuje się przy mnie



i mówi: „Ti momak umjeti strijeljat? Koliko godin imat?”<sup>6</sup>. „Piętnaście, jestem Powstańcem Warszawskim i umiem strzelać” – odpowiadam. „Sloga ti vojnik”<sup>7</sup> – mówi. Rozumiem go, bo nauczyłem się trochę serbo-chorwackiego od Branka, który pracował u Hansa Jeagera. Rozdziela pięć karabinów, porzuconych przez volkssturm, ja dostaję handgranat – niemiecki granat trzonkowy. Formujemy tyralierę i posuwamy się skokami w kierunku centrum miasta. Podchodzimy pod siedzibę policji. Tu zawsze miało służbę dwóch żandarmów. Serb Mirko jest doświadczonym oficerem. Zatrzymuje nas, kładzie na ziemię wokół budynku, aby żywa noga nie uszła. Nie wpadamy hurmem do środka, bo przecież możemy się natknąć na karabin maszynowy.

On kopniakiem otwiera drzwi. Panuje jednak cisza. Mirko wbiega pierwszy do wnętrza, a my za nim. Dopiero w trzecim pokoju znajdujemy żandarma. Wstaje na nasz widok i podnosi ręce do góry. Jest gruby, spocony i trzęsie się ze strachu. Gdzie jego buta, gdy jeszcze przed kilku dniami maszerował po miasteczku i tropił wrogów Rzeszy. Mirko odpina mu wielki pistolet, zabiera pas i każe jednemu z nas zrewidować żandarma. Może mieć przecież jeszcze ukryty mały rewolwer albo granat. Jest jednak czysty. „Co z nim zrobimy?” – pyta Mirko. „Poderżnąć mu gardło!” – woła Ukrainiec. „Powiesić!” – krzyczy mój rodak, który zna angielski. „Powiesić!” – wtórują mu inni. „A jak przyjdą SS-y i zobaczą, to już po nas” – zastanawia się Słoweniec. „I tak po nas, jak oni przyjdą, bo bokiem przemykają się jeszcze luźne oddziały” – mówi Ukrainiec. „My nie banda” – przecina dyskusję Mirko i każe zamknąć Niemca w piwnicy, gdzie jest areszt. „Jak przyjdą, to zakładnik może się przydać”.

Wystawia posterunki przy oknach na parterze od strony ulicy, skąd może nadejść nieprzyjaciel. W oknach są kraty – to dobrze i źle, dobrze, bo trudno wejść, źle, bo możemy się spalić.

Wejście do budynku blokujemy dużą szafą. Na niej kładzie się Chorwat Dragan. Był snajperem i, jak opowiada, w locie ustrzelił ptaka. Reszta nas buszuje po budynku policji. Zrywamy ze ściany portrety Hitlera, wyciągamy z ram i rwiemy na kawałki. To samo robimy z portretami Himmlera. Znajdujemy w szafie zapasy żywności, konserwy, cukier, margarynę i chleb. Jest też prawdziwa sucha kiełbasa, jakiej nie widzieliśmy od miesięcy. Mirko wydziela każdemu część zapasów, a resztę zamyka jako żelazną rezerwę. W pancерnej szafie, do której klucz miał żandarm, znajdujemy pistolet maszynowy typu Schmeiser i sporo amunicji, kilka hełmów i kilka granatów. Pistolet bierze Mirko, a granaty rozdziela między Ukraińców. Wie co robi, to potężne chłopy, a rzut granatem wymaga siły. Śpimy na zmianę po kilka godzin, bo budynek jest duży, stoi osobno, ma wiele okien, których trzeba pilnować. Przecież mogą nas podejść i obrzucić granatami.

Gdy kończę swoją kolejną wartę na strychu, skąd widać dobrze całą ulicę, nagle zasypiam. Budzi mnie gardłowy głos Niemca, mówi przez megafon gdzieś przed budynkiem: „Uwaga, uwaga, dajemy wam pięć minut na opuszczenie budynku i poddanie się. Później będziemy strzelać! Uwaga, uwaga! Powtarzam!”.

Biegnę do okna. Na ulicy stoi wielki czołg, a jego działo skierowane jest na nas. Jak walnie, zmiecie pół domu. Widziałem takie sceny w Powstaniu. Mirko coś mówi do Dragana. Rozumiem, że każe mu zastrzelić Niemca, który siedzi w wieżyczce czołgu i wzywa nas do poddania. Ale przecież jest ciemno jak diabli. Jak oni to zrobią?

---

<sup>6</sup> Ty chłopcze umiesz strzelać? Ile masz lat?

<sup>7</sup> W porządku, jesteś żołnierzem.

Nagle Mirko strzela rakieta, która zawisa kilkanaście metrów nad ziemią. Dragan składa się, ale jego karabin milczy. Widzimy teraz wszyscy, że chce walić do nas amerykański czołg. Na boku ma białą gwiazdę. Ten Mirko to ma łeb, zrywa z okna białą firankę, zawiesza na lufie Schmeisera i wychodzi na ulicę. Jeżeli to niemiecka prowokacja, myślę przez chwilę, to już po nas. Ale to najprawdziwsi Amerykanie. Patrzą zdumieni na nasze dziwne ubrania. Jugosłowianie mają na sobie serdaki, my zniszczone kombinezony, kilku ma na głowach zdobyczne niemieckie hełmy. Są jednak ostrożni, otaczają nas z tomiganami w rękę. Mirko rozmawia z nimi za pośrednictwem tłumacza. Mówi, że my, robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni zdobyliśmy posterunek policji niemieckiej i przekazujemy go teraz Amerykanom. Tamten nie wie, co odpowiedzieć. Sytuacja jest niezręczna, wziął nas za silnie uzbrojony oddział policji, a spotkał gromadę maruderów, którzy dawno ten budynek opanowali. To on popisywał się swoją niemczyzną, wzywając nas do poddania. Gdy tak pertraktujemy dolatuje do nas wrzask z budynku „Pomocy!”. „Kto to woła?” – pyta Amerykanin. „Nasz jeńiec, żandarm niemiecki” – mówi tłumacz. Amerykanin się nagle ożywia. Każe wypuścić Niemca i oddać go im pod straż. „Łamiecie Konwencję Genewską, wy cywile nie macie prawa brać jeńców” – krzyczy wściekły. Dwóch Amerykanów wchodzi do budynku, a z nimi Mirko i wyprowadzają jeńca na ulicę. Gruby spryciarz wywęszył Amerykanów, wie, że są naiwni jak dzieci. Chce iść do nich do niewoli. Słyszał, co wygadywał Ukrainiec, i ma wielkiego stracha. Jesteśmy świadkami komicznej sceny.

Amerykanin saltuje i mówi zdumionemu Niemcowi, który oczekiwał wrzasku zwycięzcy, że bierze go do niewoli. Nagle zdarza się scena, która zaskakuje rycerską armię USA. Niemiec ma narzucony na ramiona długi podgumowany płaszcz. Gdy podnosi ręce do góry, płaszcz opada na ziemię, a żandarm stoi przed nami w rozpiętym mundurze i w gaciach. Wygląda żałośnie. „Gdzie jego spodnie!” – ryczy Amerykanin. Milczymy chociaż wiemy, że ma je na sobie Stiepan, Ukrainiec, jako wojenne trofeum. Ta wojna, do której właśnie się włączyliśmy, zaczyna nam się podobać. Chociaż bardzo się staramy, nie możemy opanować salwy śmiechu, która zupełnie miażdży Niemca.

Podjeżdża zielony jeep i zabierają jeńca. Nam każą złożyć broń, co niechętnie robimy, bo czas jest niepewny, i musimy opuścić budynek policji. Pozwalają zabrać tylko zapasy żywności. Jakiś amerykański żołnierz robi do nas oko i w tajemnicy przed tym ważniakiem, który chciał strzelać, daje nam skrzynkę czekolady. Noc spędzamy w pobliskiej szkole, którą przejęliśmy na własną rękę. Amerykanie zajęli miasteczko, ale nasz dowódca Mirko wystawia warty przy drzwiach. Mamy broń, nie oddaliśmy im wszystkiego, przecież mają swojej pod dostatkiem.

Następnego dnia rano formujemy pluton wojskowy i maszerujemy przez Schallerbach w kierunku amerykańskiej komendantury. Idziemy czwórkami, Mirko na czele, za nim w pierwszej czwórce Francuzi, w drugiej Polacy, dalej Ukraińcy i Słoweńcy. Obok Mirka idą tłumacz i snajper Dragan. Michel niesie francuską flagę. My niestety nie mamy naszej. Francuzi lepiej się przygotowali. Po mieście chodzą patrole amerykańskiej żandarmerii. Nie przemęczają się jednak, spotkaliśmy tylko jeden. Chcieli nas zatrzymać, ale jak zobaczyli flagę francuską, od razu nas przepuścili. Ulice ciągle puste, ale w niektórych oknach powiewają flagi austriackie. Czerwonobiało-czerwone. A więc żyją tu prawdziwi Austriacy, którzy jak my czekali na Amerykanów.

Wreszcie dochodzimy do komendantury, dyżurny wpuszcza nas bez problemu, dopiero na korytarzu zatrzymują. W asyście dwóch rosyjskich żandarmów w białych hełmach Mirko i tłumacz udają się do dowódcy. Nas kierują na obszerne podwórko. Wokół biegają żołnierze, opodal stoją dwa czołgi bez obsługi, mają otwarte włązy. Siadamy na ławkach, jest nas spora gromada, a nikt nie zwraca na nas uwagi, nikt nie legitymuje. Wolny świat. Bardzo to mi się podoba. Wreszcie pojawia się Mirko w towarzystwie sierżanta. Jest chudy i bardzo wysoki. Przy pasie ma wielkiego kolta, w odkrytej kaburze, zrobionej z kilku pasków, a czubek pistoletu przywiązany rzemieniem do kolana. Wygląda jak szeryf z filmu o Dzikim Zachodzie. Okazuje się Polakiem z Teksasu, więc jesteśmy bardzo dumni ze spotkania z rodakiem, który przygląda nam się z ciekawością. Sierżant George, czyli Jurek, prowadzi nas z powrotem do budynku. „Dokąd?” – pytamy, bo ciągle mamy pod czaszką okropne obrazy z Mauthausen i z robót przymusowych. Nie możemy się od razu przestawić, że to amerykański żołnierz i do tego rodak, który w plecaku przyniósł nam wolność. Jurek nie odpowiada, bo przybył z wolnego kraju i nie rozumie naszego lęku. Robi nam miłą niespodziankę. Wchodzimy za nim do kasyna. Kolorowo oświetlona sala, pięknie nakryte stoliki. W głębi widać bufet. Pod ścianą flaga amerykańska. Na spotkanie wychodzi nam młody oficer, tylko w zielonej koszuli, na której ma przypięte metalowe litery USA. Jest miły, zaprasza do stolików. Też ma wielkiego kolta. Obok stoi Mirko już nie w swoim serdaku, ale w porządnej amerykańskiej bluzie. Siadamy. Oficer coś mówi, a nasz tłumacz przekłada. Amerykanin dziękuje nam za zdobycie komendy policji niemieckiej. Mamy dziwne miny, bo pamiętamy tego jednego żandarma w gaciach.

Jedzenie podają smukłe Amerykanki w furażerkach. Przyglądają się nam przy tym. Nie wyglądamy przecież na bohaterów w swoich zniszczonych ubiorach i powykrzywianych butach. Obiad trwa jednak krótko, Amerykanie cenią czas. Za to dają nam przepustkę na drogę i zapas konserw.

Bo przecież nie zostaniemy w tym cholernym mieście ani minuty dłużej. Byliśmy tu ludźmi drugiej kategorii, parobkami Trzeciej Rzeszy – wszystko nam się tu źle kojarzy. Ja nie potrafiłbym tu żyć. Ukraińcy mają ukrytą niemiecką ciężarówkę wojskową, Amerykanie dają nam benzynę, drogę otwiera nam przepustka US Army. Ruszamy na wschód do Wels.

Mirko i Dragan, trzech innych Jugosłowian oraz Francuzi zostają. To przecież jeńcy wojenni, gdzieś w pobliżu mają obóz. Idą więc do swoich, aby z honorem wrócić do kraju. Francuzi w prezencie dają nam swoją flagę. To praktyczny dar, jest z daleka widoczny i stanowi dla nas list żelazny. Bez żalu wyjeżdżam z Schallerbach. Tu nigdy nie poczuję się wolny. Po drodze spotykamy kilka innych ciężarówek z cywilami. Mają czerwone flagi z sierpem i młotem, a więc Rosjanie. Machają do nas, coś krzyczą, my także ich pozdrawiamy, ale się nie zatrzymujemy. Amerykanie nas ostrzegali, że często się zdarza, że jedni byli więźniowie czy robotnicy przymusowi napadają na innych, aby zabrać im lepsze samochody. Hitlerowcy nauczyli ich prawa dżungli. Nasz samochód znakomicie się sprawuje, więc się nie zatrzymujemy, aby nie padł ofiarą współczesnych piratów. Wprawdzie jesteśmy uzbrojeni, ale oni na pewno też, przecież na bocznicach kolejowych stoją pociągi wojskowe z porzuconą bronią. Mijamy amerykańskie czołgi, kolumny samochodów, posterunki żandarmerii.

Wreszcie widzimy długą kolumnę jeńców. Idą piechotą bez dystynkcji, bez czapek, to już nie butna niemiecka armia, lecz bezwładny tłum ludzi przegranych. Nie

ma konwoju uzbrojonego po zęby, nie słycać pokrzykiwań popędzających jeńców. Na przedzie jedzie wolniutko jeep, a w nim dwóch żołnierzy, taki sam samochód zamyka kolumnę, a za nim posuwa się sanitarka. Niemcy z pewnością są zdumieni zachowaniem Amerykanów. Hitlerowcy zrobili z Niemców barbarzyńców, zapomnieli, że ich ojcowie mieli kiedyś na szablach napis „Blut und Ehre”<sup>8</sup>. Czy przyszli Niemcy zrozumieją lekcję jakiej udzielił im wolny świat, a więc i my Polacy broniący swojego terytorium? A Austriacy, jak Hans Jeager, którzy pokochali Hitlera, czy uderzą się w piersi, czy zwałą wszystko na Niemców?

Spotykamy kolumnę czołgów amerykańskich. Zjechały z drogi na pobocze. Wyłączyły silniki. Żołnierze stoją w wielkiej gromadzie i otaczają dowódcę. Ten coś im mówi, chyba przed chwilą dostał wiadomość przez radio. I nagle żołnierze wyciągają co kto ma: kolty, tomigany i smith-wessony. Rozlega się kanonada. Zatrzymujemy się i podbiegamy do Amerykanów. Widzą naszą wielką flagę i machają przyjaźnie. Coś do nas wołają. Ale Romek – nasz tłumacz – przekrzykuje ich. Słyszymy jego magiczne słowa: „Wojna się skończyła! Berlin zdobyty!”. Udziela nam się radość Amerykanów. Ta wiadomość od kilku dni wisiała w powietrzu, odkąd Berlin podał informację o śmierci Hitlera. Ale przecież od razu się wszystko nie rozprzęgło, szeptano o tajemniczej broni Niemców, która odwróci losy wojny. A jeśli to nie błąd, a oni rzeczywiście ją mają? Zbyt dużo napatrzyliśmy się na ich dywizje, za bardzo poznaliśmy ich bezwzględność i chęć postawienia wszystkiego na jedną kartę, żeby się nie bać. Ale jeśli Berlin wzięty, to już nie ma dla nich ratunku i nastąpił koniec Trzeciej Rzeszy.

Wjeżdżamy do Welsu. Miasto już wie. Na ulicach kręcą się ludzie, przeważnie kobiety i starcy. Widać także dzieci. Na domach sporo flag austriackich. Widzimy młode Austriaczki spacerujące z Amerykanami. No cóż, życie ma swoje prawa, tym bardziej, że skończyła się wojna. Zatrzymuje nas patrol żandarmerii w jeepie. Są mili. Proponują nam pilotowanie do obozu dla uchodźców. A więc już nie jesteśmy niewolnikami. Zgadząmy się chętnie. Oni mkną przed nami sto kilometrów na godzinę, my za nimi. Tak wjeżdżamy do wielkiego obozu. Chyba był to obóz pracy, bo nie widać drutów kolczastych, ani wież strażniczych. Nie podoba nam się tu jednak. Liche baraki budzą złe wspomnienia. Są tu sami mężczyźni, różnych narodowości: Polacy, Ukraińcy, Czesi, Rosjanie, Słoweńcy, byli więźniowie Mauthausen i robotnicy przymusowi. Komendantem jest nasz rodak. Ktoś z jego otoczenia przydziela nam miejsca do spania. Dostajemy z Zygmuntem dwa wolne łóżka w parterowym baraku. Na nich dosyć brudne sienniki i porwane szare koce. Postanawiamy ich nie używać, bo obawiamy się zawszenia. Zresztą jest bardzo ciepło. Pomieszczenia w barakach są inne niż w Mauthausen, to boksy na cztery osoby z piętrowymi łózkami. Obozu nikt nie pilnuje. Zostawiamy swoje rzeczy i idziemy na obiad. Stoją niemieckie kuchnie wojskowe, nasi współtowarzysze niedoli gotują i wydają jedzenie. Zupy i chleba ile się chce, ale mięsa mało i to z konserw amerykańskich. Jest nas co najmniej kilkuset, a patrole amerykańskie przywożą ciągle nowych. Wydają więc mięsa niewiele, aby starczyło dla wszystkich.

Po południu pojawia się patrol sanitarny, Amerykanie nowych przybyszów, a więc i nas, dezynfekują proszkiem DDT. Mają ze sobą sprzęt na samochodach. Murzyni bawią się tym doskonale i wpompowują nam w nogawki spodni tyle DDT, że nie

---

<sup>8</sup> Krew i honor.

możemy zgiać nóg. Podsuwamy im koce do dezynfekcji. Machają przecząco głowami i wydają nam dwie nowiutkie narzuty z białej wełny. Niewiele nam służyły, bo następnego dnia ktoś nam je ukraść. Wracamy do normalności – pomyślałem wtedy.

Chodząc po obozie, spotykamy jeńców niemieckich. Są to żołnierze Wehrmachtu i Luftwaffe. Role się odwróciły. Teraz oni zamiatają obóz i wywożą śmiecie, a my po obiedzie spacerujemy. Pilnuje ich żołnierz amerykański, który właśnie poszedł do kantyny po piwo, a oni rozglądają się z niepewnymi minami. Wiedzą, że ci wokół to byli kacetnicy i robotnicy przymusowi. Przeszli piekło z rąk ich rodaków, mogą teraz się odegrać. Ktoś tam woła do Niemców: „Schneller arbeiten!”<sup>9</sup>, ktoś inny przygląda się im z zadowoleniem, ale na tym koniec. To przecież zwykli żołnierze z poboru, gdyby byli esesmanami, to co innego – rozerwalibyśmy ich na strzępy. To esesmani mordowali nas w Mauthausen.

Naszym współlokatorem jest Ukrainiec Kola. Wysoki, ma chyba ponad dwa metry i wygląda na bardzo silnego. Jak opowiada, pracował w fabryce w Linzu, było ciężko. Nie zamierza wracać do domu. Nie dziwimy się, coś nieoś o NKWD słyszeliśmy jeszcze w Warszawie, ale zawsze co własny kraj, to własny kraj. Ja poszedłbym do Polski nawet na piechotę. Kola chce lecieć do Kanady, jeśli mu się uda i wszystko się uspokoi. Kanada przyjmuje emigrantów. „Mogę pracować nawet w kopalni” – mówi. Kola jest miły i schludny. Martwi się tylko, że jego wyjazd może się opóźnić, bo Niemcy zabrali mu dokumenty. „Dadzą ci nowe” – pociesza go Zygmunt, gdy na kolację jemy razem amerykańskie konserwy.

Kola wstaje bardzo rano, ledwie świta i myje się w misce, parszając. Budzi nas i to jedyny z nim kłopot. My chodzimy do umywalni, która znajduje się pod drzewami.

Jak wolność to wolność. Właśnie Kola się myje, naciągam ubranie na głowę, aby go nie słyszeć, gdy nagle rozlega się wrzask Zygmunta. Siadam na łóżku i widzę jak Zygmunt rzuca się na Kolę. „To esesman! – krzyczy – ma pod pachą esesmański tatuaż”. Stoją naprzeciw siebie, Zygmunt mały, a tamten wielki. Dawid i Goliat.

Esesman patrzy spokojnie, nie wystraszył się, zbyt dobrze go szkolili. Jest jednak zdemaskowany i postanawia działać, wyciąga esesmański nóż i przez chwilę zastanawia się kogo uderzyć pierwszego, Zygmunta, czy mnie. Teraz my musimy się bronić, sięgam po torbę, w której mam granat. Wyciągam go, ale esesman wie, że nie użyję go w baraku. Zawahał się jednak. I chyba nie docenił chłopaka z warszawskiej Pragi, który potrafi się bić. Zygmunt błyskawicznie odbija szyjkę od butelki i szkło wbija w brzuch esesmana. Tamten ucieka. Jest w marnych drelichach, nikt nie zwraca na niego uwagi. W połowie drogi do bramy doganiamy go. „To esesman! – wrzeszczy Zygmunt – To esesman!” Wszyscy obecni przed barakami zatrzymują się nagle i tłum rzuca się na esesmana. Przewracają go na ziemię, bezzębny niemal kacetnik siada mu na piersiach, a inni zdzierają z niego ubranie. Gdy znajdują esesmański tatuaż, rozlega się ryk gniewu i setki rąk rozrywają Ukraińca na kawałki, które później tłum wdeptuje w ziemię. Ktoś przynosi kanister z benzyną i polewa ludzkie strzępy. Powoli rozchodzimy się, chociaż jesteśmy zdyszani jak po biegu. Po południu ktoś z naszych posypuje miejsce piachem, bo Niemcy sprzątający obóz boją się wyjść z boks, gdzie pilnuje ich amerykański żołnierz. Skąd Ukrainiec w SS? Przecież istniała dywizja SS Galizien, w której służyli Ukraińcy. Wsławiła się licznymi mordami i wyjątkowym okrucieństwem. Następnego dnia przyjeżdżają do obozu Amerykanie i robią śledztwo.

---

<sup>9</sup> Szybciej pracujcie!

Wypytyją, ale oczywiście nikt nic nie wie. Wszyscy wzruszają ramionami. Odjeżdżają, ale od tej pory po obozie spacerują stale dwaj amerykańscy żandarmi.

Gdy mija powoli euforia fanfar zwycięstwa nad Niemcami, zastanawiam się, co robić dalej. Przecież nie spędzę życia w tym „mieście byłych więźniów i robotników przymusowych”. Do wybuchu Powstania Warszawskiego ukończyłem pierwszą klasę tajnego gimnazjum Tadeusza Reytana, mam już szesnaście lat, chciałbym się uczyć dalej. Gdy w Austrii sytuacja się unormuje, mogę pracować jako pomocnik w warsztacie mechanicznym, bo trochę się nauczyłem u Hansa Jeagera, albo być parobkiem u bauera. Pochodzę z rodziny inteligentnej i taka przyszłość nie dla mnie. Zresztą tęsknię za rodzicami, z którymi wojna mnie rozdzieliła. Poszliśmy obaj z ojcem do Powstania, tylko innymi drogami. Ojciec jako przedwojenny oficer miał stały przydział, ja, harcerz Szarych Szeregów, zgłosiłem się na ochotnika. Matkę esesmani wyrzucili z domu z tysiącami warszawiaków, kiedy pacyfikowali Mokotów. Czy moi rodzice żyją, czy żyje moja babka Rozalia, przedsiębiorcza kobieta i materialna ostoja naszej rodziny w ciężkich czasach okupacji niemieckiej.

Na trzy miesiące przed wybuchem Powstania moją rodzinę spotkało nieszczęście. Esesman stojący na posterunku przed koszarami na rogu ulic Narbutta i Kazimierzowskiej zastrzelił mojego brata Eugeniusza wracającego wieczorem do domu. Brat miał siedemnaście lat. Szedł spokojnie ulicą, a esesman bez powodu zaczął strzelać. Do godziny policyjnej, obowiązującej wtedy Polaków, pozostało jeszcze pół godziny. Dla matki był to tak straszny cios, że już do śmierci się nie podniosła. Ja też bardzo przeżyłem śmierć Gienka. On przecież jako żołnierz AK wprowadzał mnie w tajniki konspiracji, przynosił do domu pierwsze gazetki, uczył mnie obchodzenia się z bronią, a przede wszystkim był piekielnie odważny, co mi bardzo imponowało. Pod wieloma względami stanowił dla mnie niedościgły wzór.

Gdy jeszcze sobie nie radziłem ze zbyt agresywnymi chłopakami w szkole, przychodził mi z odsieczą. Najwięksi bokserzy w klasie mówili, patrząc na mnie: „Nie rusz go, on ma starszego brata”. Gienek uczył mnie jeździć na rowerze i dał pierwsze lekcje pływania w Wiśle, nigdy się nie wymądrzał i nie pouczał. I nagle esesman go zabił. Ukryłem to wspomnienie głęboko, aby przetrwać na robotach, ale teraz wróciło. Rok nie stałem nad jego grobem. Co ja tu jeszcze robię, pora wracać do domu.

Ale oficer łącznikowy naszego rządu w Londynie zniechęca mnie. Siwy, jowialny pułkownik mówi: „Sowieci aresztują AK-owców, także tych najmłodszych”. Na mapie zakreśla czerwonym kółkiem Rembertów, Majdanek i Lublin i mówi: „Tu są obozy dla AK-owców, którzy są później wysyłani do łagrów w głąb Rosji. Kto poczeka, będzie mógł emigrować do Kanady, a może przyjmą was inne kraje”.

Emigracja nigdy nie miała w mojej rodzinie dobrej marki. Stało się tak dzięki dziadkowi Józefowi, który przed pierwszą wojną wyemigrował do Ameryki. Naczytawszy się powieści Jacka Londona, wyjechał tam w poszukiwaniu przygód i majątku. Niestety, zginął w katastrofie w kopalni węgla i nigdy go nie poznałem. Gdy z Gienkiem niezbyt pilnie uczyliśmy się w szkole, u nas w domu zawsze się mówiło: „Oj, bo skończycie jak dziadek Józek”.

Jest koniec lipca 1945 roku. Zdecydowałem się, jadę do Polski. Ci, którzy zostają, dają mi listy do rodzin, podają adresy najbliższych. Zygmunt z Pragi i Janek, z którymi wiele przeżyłem w hitlerowskiej Austrii, na razie nie jadą. Może później. Amerykanie nie namawiają nas do powrotu ani nie zniechęcają. Ich pułkownik mówi za

pośrednictwem tłumacza: „To wasza osobista decyzja. Ale wiem, że serce was ciągnie”.

Ucieszy się jednak, jeśli wyjedziemy. To Ameryka żywi codziennie kilkaset tysięcy ludzi kręcących się po Europie, których wywieziono wbrew ich woli. A jej olbrzymie armie okupujące Niemcy także potrzebują żywności, która płynie bez przerwy zza oceanu.

Rusza długa kolumna amerykańskich samochodów, siedzę w jednym z nich. Podwożą nas kilkanaście kilometrów i tam dopiero wsiadamy do pociągu. Są to wagony osobowe, a nie takie, jakimi wieźli nas hitlerowcy do Mauthausen. Dostajemy paczki żywnościowe i butelki wody na drogę. Nie ma tłoku, chociaż pociąg jest długi. Wielu jednak powraca do domu. Wszyscy czekamy w napięciu na ten moment, który zmieni nasze życie. Wreszcie pociąg rusza.

W Pradze czeskiej dosiadają się pierwsi żołnierze sowieccy. To maruderzy, bo jest ich tylko kilku. Ludzie powracający zamykają przedziały na klucz, bo każdy coś tam wiezie do domu, a pociąg jedzie bez konwoju. Stoimy dosyć długo, Międzynarodowy Czerwony Krzyż daje nam jedzenie na dalszą podróż. Wychodzę na peron. Jestem zaskoczony. Przecież to polski pociąg, a na bokach wagonów narysowano wielkie sierpy i młoty. Ludzie jadą do kraju, w którym rządzą Sowietci, i namalowali je ze strachu. Powoduje to komiczną omyłkę. Gdy pociąg staje w jakiejś miejscowości, orkiestra gra „Międzynarodówkę”, a na peron wchodzi delegacja Czechosłowaków z czerwonym sztandarem oraz chlebem i solą. Wnoszą także wódkę i kilka skrzynek piwa. Mówią do nas po rosyjsku i jest wielka kompromitacja. To jakiś miejscowy pierwszy sekretarz się wygłupił. Gdy się zorientowali, szybko umknęli z wódką, ale piwa i chleba nie zabrali. Patrzymy na siebie i uczymy się nowej rzeczywistości, która przecież jest również w Polsce.

Wreszcie nasza granica. Jakiś profesor jadący z nami, który ocalał z Mauthausen, robi nam wykład z geografii: „Tu mieszkali przed wojną Niemcy, niedaleko jest Breslau, dzisiaj Wrocław”. Pociąg staje. Jesteśmy w Dziedzicach. Nareszcie Polska.

Jestem bardzo wzruszony. Wsiadam z wagonu, stoimy na niewielkiej stacji. Obok kwitnące łąki i jeszcze nieskoszone żyto. Widzę młodego żołnierza z karabinem, w polskim mundurze. Ogarnia mnie uczucie wielkiej ulgi. Teraz mogę się przyznać, bałem się, że już nigdy tu nie wrócę. Niektórzy manifestują to bardziej otwarcie. Po prostu rzucają się na zdumionego żołnierza, chłopaka z poboru, gdzieś spod lubelskiej wsi, i próbują go uściskać.

Podchodzę do stolika z dwoma oficerami. Obok żołnierze i jacyś cywile. Po twarzy jednego widać, że on tu rządzi. Jest w stopniu kapitana, obok młody porucznik. Kapitan pyta: „Nu, był ty w organizacji, w AK, ty powstaniec warszawski?” – przygląda mi się podejrzliwie. Jednak ten pułkownik z Londynu mówił prawdę. To chyba enkawudzista, jeśli interesuje go Armia Krajowa. Na moment się zawahałem. Wyprzeć się AK? Wtedy młody porucznik wzrokiem daje mi znak, aby zaprzeczyć. Kapitan tego nie widzi. „Nie należałem do AK ani do żadnej innej organizacji, nie jestem Powstańcem Warszawskim” – wyrzucam z siebie szybko, bo wiem co mi grozi. „To co robił w Austrii i dlaczego go wywieźli?” – przyciska mnie dalej kapitan. „Wzięli mnie w łapance na ulicy, a w Austrii pracowałem u chłopca”. Nie mówię już nic o Mauthausen, aby nie wzbudzać jego podejrzeń. „Na pewno nie był w AK, bo jak mówi nieprawdę będzie ukarany”. „Na pewno” – powtarzam. „A jakie ma pochodzenie, co robił ojciec i matka?”. „Ojciec był robotnikiem, a matka była ze wsi”

– kłamię, aby się tylko odczepił. Ktoś mi mówił w pociągu, że takie pochodzenie jest teraz w Polsce najlepsze.

Szybko się uczę. Wyczuwam, co jest dla mnie dobre. Przecież oni wyróżnili swoją inteligencję, mówił o tym pułkownik z Londynu. Żołnierz siedzący obok wszystko notuje, a ja muszę podpisywać kwestionariusz. Zabierają mi niemieckie dokumenty, których już nigdy nie odzyskam, chociaż się o to starałem. Dostaje w zamian różową kartę identyfikacyjną, która jest jednocześnie biletem do Warszawy. Jest na niej wezwanie, aby się w ciągu dziesięciu dni zameldować w komisariacie Milicji Obywatelskiej w stolicy. Dają mi sto złotych na drogę i mogę jechać do domu.

Sierpień 1945. Wreszcie Warszawa. Wsiadam z pociągu późnym popołudniem. Dworzec Główny przy Towarowej tonie w morzu ruin. Ale ja nie zwracam specjalnie na to uwagi. Przecież żyję i powróciłem. Nie chodzą tramwaje ani autobusy. Idę na Mokotów piechotą. Nie jest mi ciężko, mam tylko niemiecki chlebak, a w nim trochę jedzenia. Dzień w lecie jest długi, więc się nie spieszę. Nagle pojawia się myśl: „A co będzie jeśli mój dom jest spalony?”. Przyspieszam więc kroku, tym bardziej, że w Alejach Niepodległości odbywa się właśnie ekshumacja. Straszny fetor. Wreszcie moja ulica Kazimierzowska. Były tu silne walki, a ja z patrolem sanitarnym dźwigałem rannych, zakopywałem poległych i przenosiłem meldunki. Czy wydarzyło się to naprawdę? Mój umysł nie może się uporać ze wspomnieniami. Na moich rękach umierali ludzie, wypędzono mnie z miasta, w Mauthausen chciano pozbawić człowieczeństwa i zabić, na robotach znęcano się nade mną, głodzono i przerabiano na parobka Trzeciej Rzeszy.

Czy ja będę umiał normalnie żyć: mieć kolegów, chodzić do szkoły, grać w piłkę? Przecież ja mam szesnaście lat. Czy zawsze się już będę bał łapanek na ulicy, aresztowania, głodu i śmierci pod czarna ścianą?

Na szczęście mój dom przy Kazimierzowskiej 69 stoi. Tylko jedno mieszkanie ma odstrzelone pociskiem niemieckiego tygrysa. Pukam do drzwi swojego mieszkania na parterze, bo nie ma prądu i dzwonek nie działa. Otwiera jakiś nieznany mężczyzna, mówi, że tu mieszka, ma nakaz kwaterunkowy na pokój wystawiony przez nową władzę. „Jak to, przecież to moje mieszkanie” – wściekam się i nie pozwalam mu zamknąć drzwi. Szarpiemy się. Wtedy za plecami mężczyzny pojawia się mój ojciec i tamten speszony się wycofuje. Obejmujemy się z ojcem ramionami, ale ja po chwili wiem, że jestem już innym człowiekiem i nie potrzeba mi czułości. Pytam o matkę. Nic o niej nie wiadomo, gdzie ją wywieźli. Czy żyje? Ojciec pracuje w UNRRA, tak się nazywa amerykańska pomoc żywnościową, która nadchodzi do Polski. Zajęcie niezłe, bo część wynagrodzenia dają w żywności, a tej w Warszawie brakuje. Na kolacje jemy chleb z „małpim smalcem”, który wygląda jak wazelina. Jest to smalec wieprzowy, ale ponieważ jest wyciskany maszynowo i bardzo biały, warszawiacy tak go nazywają.

Nasze mieszkanie gruntownie obrabowano. Zniknęły obrazy, nie ma odzieży. Kto to zrobił, nie wiadomo. Z trzech pokoi pozostał nam tylko jeden, dwa pozostałe przydzielono innym. W Warszawie na jednego człowieka przypada osiem metrów powierzchni mieszkalnej. W jednym lokalu pędzi życie kilka rodzin, jest wspólna kuchnia i ubikacja. Chociaż to uciążliwe, nie budzi moich zastrzeżeń. Większość miasta leży w gruzach i musimy sobie pomagać. Zresztą w Mauthausen było gorzej. Wreszcie w naszym domu wielka radość, powraca matka – też wywieźli ją do Niemiec



na roboty. Jest wymizerowana i bardzo się postarzała. Ma dopiero trzydzieści pięć lat, a już tyle siwych włosów. Cierpi na bezsenność, przez całe noce chodzi po mieszkaniu.

Pewnego dnia ojciec mnie pyta co chcę robić. „Jak to co – mówię – nic”. Bo rzeczywiście nic mi się nie chce. Mój stary jest mądrym człowiekiem, nie pogania mnie, nie prawi mi morałów. Chodzę po mieście i nie poznaję go. Codziennie jednak przy gruzach uwija się coraz więcej ludzi z łopatami. Włączają światło i doprowadzają znów wodę. Wreszcie podejmują decyzję. Zwracam się do ojca: „Nie mówmy więcej o tej wojnie, przestańmy chodzić na groby, od nowego roku szkolnego idę do szkoły”.

Pocziwy stary Reytan. Już nie musi się ukrywać pod szyldem szkoły ogrodniczej, jak było za niemieckiej okupacji. Powrócił do swojego przedwojennego budynku przy ulicy Rakowieckiej. Gdy wchodzę na szkolny dziedziniec, czuję się bardzo dziwnie. Słyszę pierwsze szkolne pokrzykiwania, obok chłopaki grają w piłkę. To już wolno krzyżeć i grać w piłkę? W hollu spotykam dyrektora Stasia Ostrowskiego – tak o nim mówiliśmy, bo był bardzo lubiany. Niewiele się zmienił, tylko zapuścił brodę. „Jesteś nareszcie” – mówi. Poznał mnie, bo on miał wspaniałą pamięć do twarzy i nazwisk. „My tu już od dwóch miesięcy wynosimy gruz ze szkoły, a ty się nie zgłosiłeś? Zapomniałeś o nas?”. „Nie, panie dyrektorze, często myślałem o szkole, ale mnie nie było, musiałem wyjechać” – mówię.

Dyrektor się chyba zorientował, gdy mi się przyjrzał. Miałem na sobie czarną kurtkę niemieckiego pancerniaka i spodnie od panterki esesmana. Naszą rozmowę przerwała szkolna bibliotekarka, która nigdy mnie nie lubiła, a teraz też mnie rozpoznała. „Jesteś winien szkole jedną książkę, przynieś ją wreszcie” – powiedziała. Popatrzyłem na nią i powiedziałem wolno, bo już się jej nie bałem jak kiedyś: „Wojna jest mi winna dużo więcej” i odszedłem.

Ale matury nie zdałem u Reytana. Chociaż uruchomiono dla nas zapóźnionych system semestralny i mogliśmy przerobić dwie klasy w jednym roku, szybko się zniechęciłem. Zrozumiałem, że normalna szkoła, z piątkami, dwójkami i siedzeniem w ławkach, to już nie dla mnie. Czułem się staro, jakaś niewidzialna szyba odgradzała mnie od moich rówieśników, którzy jak dawniej krzyczeli na przerwach i robili sobie kawały. Zacisnąłem zęby i przez najbliższe trzy lata dobrnąłem do trzeciej klasy liceum. To było wszystko, co mogłem zrobić dla siebie w normalnej szkole. Napisałem podanie do kuratorium z prośbą o dopuszczenie do matury eksternistycznej. Zgodzili się. Zerwałem kontakty ze znajomymi i przez kilka miesięcy uczyłem się sam. Tylko algebrę przerabiałem ze studentem politechniki, który dziwił się, dlaczego nie chcę chodzić do szkoły. W 1948 roku zdałem eksternistyczny egzamin dojrzałości w Liceum Władysława IV na warszawskiej Pradze. To była tylko formalność, bo od dawna byłem dorosły. Egzamin okazał się trudny, zdawałem ze wszystkich przedmiotów. Gdy wszedłem na egzamin z języka niemieckiego, profesor bardzo stary człowiek, kiedy zorientował się, że mówię płynnie, powiedział: „Gdzie pan tak wyszlifował ten język?”. „W Austrii” – odpowiedziałem. Wtedy on się ożywił. „Jak był pan w Austrii, to chyba słuchał pan walców Johanna Straussa”. „Tak panie profesorze, w Mauthausen grali je ludziom idącym na śmierć”. On się speszył i szybko dał mi piątkę. Była to moja jedyna korzyść wyniesiona z wojny.

W październiku 1948 roku rektor Szkoły Głównej Handlowej, profesor Andrzej Grodek wręczył mi akt immatrykulacyjny. I oto ja – więzień Mauthausen i pogardzany robotnik przymusowy Trzeciej Rzeszy, który miał przez całe życie być jej parobkiem, stałem się studentem prestiżowej wyższej uczelni. Gdy skłoniłem się niezgrabnie przed

Jego Magnificencją, nagle zawadziłem jednym pantoflem o czerwony dywan. Ojciec kupił dla mnie okazynie buty i były trochę za duże, chociaż bardzo eleganckie, rektor spojrzął na mnie zdziwiony. „Bardzo przepraszam, nie jestem przyzwyczajony do butów” – powiedziałem głupio.

Rektor znany z surowości zapytał: „Co pan tu wygaduje?” i podszedł do mnie bardzo blisko.

Nie mówiłem chętnie o tym, bo nie chciałem korzystać z moich cierpień, przecież nie stanowiłem wyjątku w kraju, ale teraz nie mogłem zachować się inaczej. „Panie rektorze, ja przez rok chodziłem w drewniakach dla więźniów, do kraju powróciłem w wojskowych saperkach”. Kiedy się wytłumaczyłem z mojej niezręczności, rektor, który nie był skory do wylewności, powiedział: „Po tym, co się dowiedziałem o tobie chłopcze, powiem, że tacy jak ty wygrali wojnę”. Wtedy go nie rozumiałem, ale teraz rozumiem.

W 1989 roku wybraliśmy się z żoną samochodem za granicę. Na czechosłowacko-austriackiej granicy poczułem ból głowy. Znów tu jestem. Wjechaliśmy do Wiednia. Stamtąd droga prościutko prowadzi na Linz i Wels. Od niego tylko skok do Hofkirchen. Spojrzeć w oczy Hansa Jeagera, może jednak jeszcze żyje?

Siedzimy w kawiarni przy Robert-Blum-Gasse i przez szklaną szybę patrzymy na ulicę. Za szybą huczy Wiedeń. Zastanawiam się, czy tam pojechać. Wojna tkwi we mnie, ale to już stary film, na którym kiedyś byłem. Obrazy wyblakły, chociaż tamte twarze ciągle pamiętam. Moja żona, która urodziła się po wojnie, mówi: jeśli bardzo chcesz, pojedziemy do Mauthausen, podobno tam jest muzeum, ale mnie to nie interesuje. Możemy się też wybrać do tego twojego Welsu.

Dla niej to tylko muzeum, a dla mnie obóz śmierci. Jej nie interesuje. Czy jeszcze dzisiaj kogoś interesuje oprócz mnie, bo moi starsi koledzy umarli? Nie mogę mieć pretensji do żony, która jest samą radością życia. Patrzę na nią i przez chwile jej zazdroszczę, że jest wolna od tamtych obrazów. Jak długo będę do nich powracał?

Nagle się decyduję. „Nie jedziemy – mówię do żony – kierujemy się na granicę z Włochami”.

Gubimy się jednak w Wiedniu. Poznajemy na ulicy parę młodych Austriaków. Dziewczyna jest studentką na tutejszym uniwersytecie, on uczy się w Szkole Filmowej. Wyprowadzają nas samochodem na drogę w kierunku Włoch. „Czy Wels to teraz duże miasto? – pytam – Jak długo tam trzeba jechać?”. Dziewczyna patrzy na mnie i odpowiada: „Duże. Był pan kiedyś w Austrii, prawda?”. „Byłem, ale wtedy to nie była Austria”. Żona patrzy na mnie z wyrzutem i mówi: „Przecież miałeś już do tego nie wracać”.

Uśmiecham się do młodych Austriaków i zastanawiam się, czy będę mógł zapomnieć. Czy mam prawo?



